

Ed REDAKTORA

Staram się unikać banalnych konstatacji typu „Jak ten czas leci”, ale, niestety, leci. Jeszcze nie wszyscy pochowali do szaf zimowe ubrania, a tu już wakacje. Nasi autorzy doznali takiego przyspieszenia, że wielkie podróże mają już w tym roku za sobą. My nie, więc polecam reportaże z Japonii i Kolumbii, bo nie są to kraje leżące na szlaku typowych polskich wędrowek. Skoro mowa o odkryciach, warto przeczytać wywiad z wybitną pianistką Anną Kijanowską, która karierę zrobiła w USA, a na wakacje przyjeżdża do Jaworza. Wędrujemy także w głąb czasu, do wydarzeń sprzed stu lat w Wiedniu i Galicji. A tym, którzy pojadą wkrótce do Chorwacji i Czarnogóry rekomenduję artykuł o wojnie na Bałkanach, jako swoiste memento. Żeby jednak nie było smutno, wychylmy na pocieszenie kieliszek legalnej łąckiej śliwowicy. Warto przeczytać wywiad z człowiekiem, który wygrał z bezduszością i biurokracją. **Zapraszam do lektury nowego numeru *Lady's Club* oraz do współpracy dziennikarskiej i reklamowej: s.bubin@ladysclub.com.pl, biuro@ladysclub.com.pl, tel. 509 965 018.**

Stanisław Bubin

LADY'S CLUB

NUMERZE

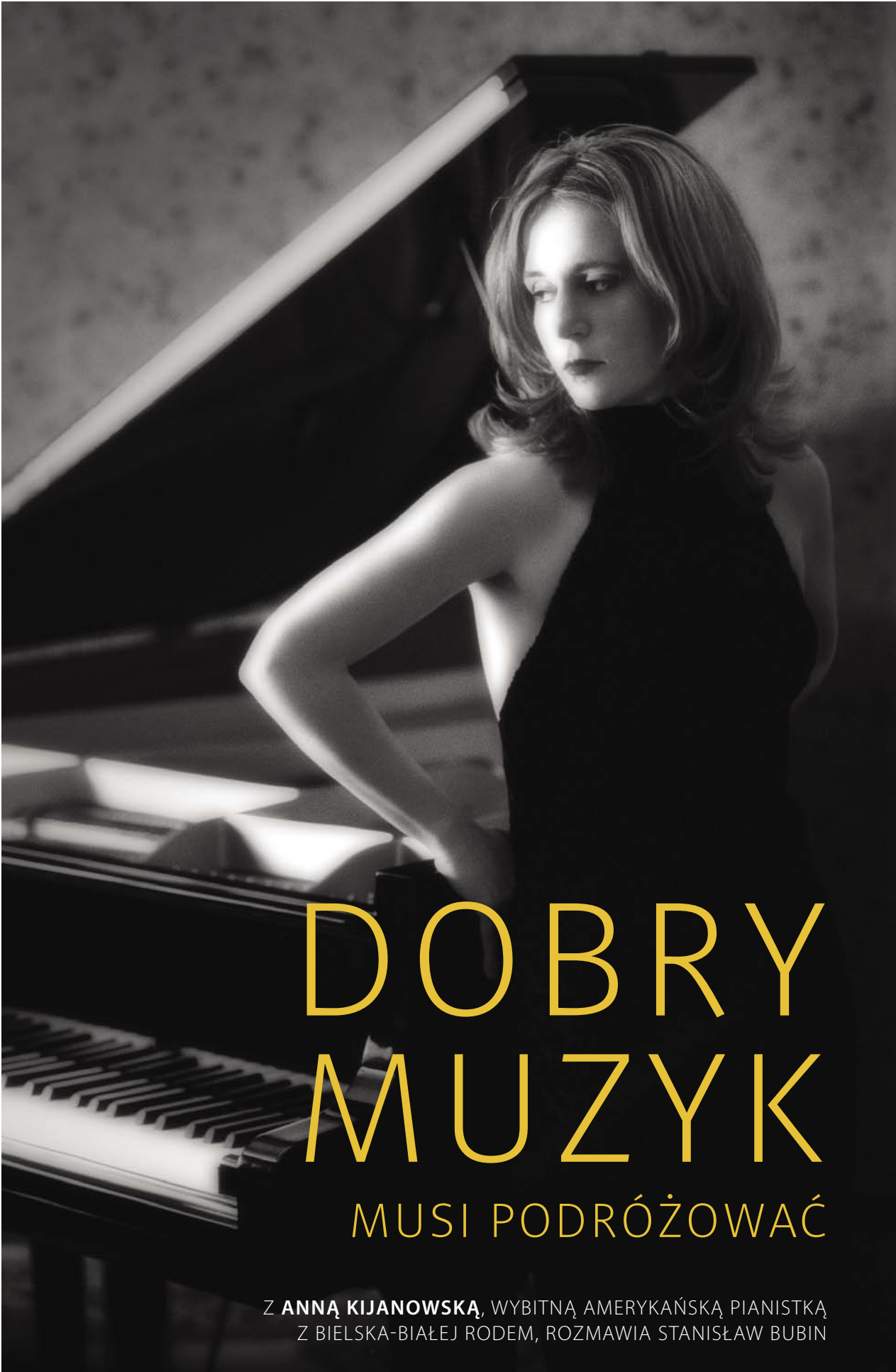
- 2 ROZMOWA Z PIANISTKĄ ANNĄ KIJANOWSKĄ
- 7 VARIA: BYŁO, NIE MINĘŁO
- 10 GENERACJA X, Y, C. ŁUKASZ LENARD O ZMIANACH NA RYNKU PRACY
- 12 KRZEPÍ SERCA, KRASI LICA... WIZYTA W TŁOCZNI MAURERA
- 14 ZABAWNA BUZIA, RZECZ O AUDREY HEPBURN
- 18 DROGA FRANCISZKA PIECZKI OD CZOŁGU DO ŁAWECZKI
- 22 KATARZYNA ZIEMER O RODZICIELSTWIE BLISKOSCI
- 25 WYWIAD ZE STANISŁAWEM KARPIELEM-BULECKĄ
- 28 INTERPRETACJE W IMIĘ JAKUBA S.
- 31 PAZNOKCIE Z PASJĄ
- 34 NARODOWCY I GESZEFCIARZE STO LAT TEMU W GALICJI
- 40 JAK SIĘ STARZEJEMY
- 42 THE LOOK OF THE YEAR 2013
- 45 LISTY Z MONACHIUM: PRZYPADKEM HANSENA
- 46 METAMORFOZY W DRESS FOR SUCCESS POLAND
- 49 RECENZJE KSIĄŻKOWE
- 50 JAPONIA: I TY MOŻESZ ZOSTAĆ GEJSZĄ
- 55 KOLUMBIA: W BOGOCIE I MEDELLIN
- 61 BAŁKANY UŚPIONE
- 64 MODA W OBIEKTYWIE MAGDALENY OSTROWICKIEJ
- 70 HOROSKOP DLA CIEBIE
- 72 FELIETON KRZYSZTOFA ŁĘCKIEGO

NA OKŁADCE DOMINIKA TERESZKIEWICZ
ZDJĘCIE MAGDALENA OSTROWICKA
FRYZURA PATRYCJA SOBECKA
MAKE-UP EWA TRZĘCIAK
BIŻUTERIA ARS DAVIA



WYDAWCA FIRMA WYDAWNICZA LADY'S CLUB
ADRES REDAKCJI 43-309 BIELSKO-BIAŁA, UL. SUCHA 32
REDAKTOR NACZELNY STANISŁAW BUBIN, s.bubin@ladysclub.com.pl, TEL. 509 965 018
REKLAMA MAŁGORZATA AMBROŹAK, biuro@ladysclub.com.pl, m.ambrozak@ladysclub.com.pl, TEL. 509 965 018, 661 861 189
WSPÓŁPRACA DOROTA STASIKOWSKA-WOŹNIAK, MAGDALENA OSTROWICKA, JOLANTA CZECH, LUCYNA GRABOWSKA-GÓRECKA, ALEKSANDRA RADZIKOWSKA, BARBARA URBANOWICZ-ŚMIGIEL, GRAŻYNA KUROWSKA, ANIKA STRZELCZAK-BATKOWSKA, WIOLETTA UZAROWICZ, BEATA SYPULA, NATASHA PAVLUCHENKO, KATARZYNA ZIEMER, ALDONA LIKUS-CANNON, EDYTA DWORNIK, ROMAN ANUSIEWICZ, MIKOŁAJ WOŹNIAK, MICHAŁ GRZESIEK, ŁUKASZ LENARD, TOMASZ ŚMIGIEL, KRZYSZTOF ŁECKI, KRZYSZTOF SKÓRKA, ALEKSANDER SIEROŃ, JACEK KACHEL
LAYOUT PAWEŁ OKULOWSKI
ISSN 1899-1270

Szukaj nas również [facebook](https://www.facebook.com/ladysclub)



DOBRY MUZYK

MUSI PODRÓŻOWAĆ

Z **ANNĄ KIJANOWSKĄ**, WYBITNĄ AMERYKAŃSKĄ PIANISTKĄ
Z BIELSKA-BIAŁEJ RODEM, ROZMAWIA STANISŁAW BUBIN

FOT. TOMASZ SIĘREK

Kiedy po raz ostatni gościła pani w Bielsku-Białej?
Dziewięć miesięcy temu. Dawno i niedawno zarazem.

Jak odnajduje pani miasto?

Za każdym razem coś mnie zaskakuje, w śródmieściu i poza nim. Zmiany są niesamowite. Bielsko nabiera kolorów, znika wszechwładna dotąd szarzyzna. Jestem wrażliwa na barwy, więc miło mi się tu wraca. Pojawiają się nowe budynki i sale koncertowe o światowym standardzie, na przykład sala koncertowa przy szkole muzycznej.

Podróżuje pani po różnych ciekawych miejscach. Dużo jeszcze mamy do nadrobienia?

Zawsze można coś udoskonalić. Przydałoby się jeszcze więcej kolorów. Centrum miasta wygląda ładnie, ale kiedy wchodzi się do zaułków, do bram i podwórek, widać, ile jeszcze jest do poprawienia. Najważniejsze, że wszystko idzie do przodu i moje miasto nie odstaje już tak bardzo od innych. Chętnie wracam do Bielska-Białej, kiedy tylko mogę, ze względu na rodzinę i sentyment. Uwielbiam spacerować po naszych lasach, po Beskidach, z moim husky'm, który stale na mnie czeka. Staram mu się zrekompensować tęsknotę wędrówkami po górach.

W którym momencie zaczęła się pani kariera pianistyczna?

Trudno to dokładnie określić. To nie był jakiś szczególny moment, raczej zmiana rodzaju moich występów ze studenckich na profesjonalne. Cały mój siedmioletni pobyt w Nowym Jorku był niesamowity, bardzo pracowity i owocny. Nowojorski debiut miałam w Fundacji Kościuszkowskiej jeszcze w czasie studiów. Występ był transmitowany na żywo przez największą stację radiową muzyki klasycznej w NY – WQXR. Po nim przyszły koncerty w Carnegie Hall, Merkin Hall w NY i w Kennedy Center, National Gallery of Arts i Corcoran Museum w Waszyngtonie.

Wyjechała pani prywatnie czy na zaproszenie?

Na zaproszenie pani Madeleine Hsu Forte, która tak naprawdę... przyjechała po mnie. To znaczy ona podróżowała po Europie i szukała młodych, utalentowanych muzycznie ludzi do swojego programu. Dzięki niej wylądowałam w Stanach, a moim pierwszym przystankiem, dość nietypowym, było Idaho. Tam zaczęłam odnosić pierwsze większe sukcesy, wygrywając kilka konkursów pianistycznych, amerykańskich i międzynarodowych.

Jak to się stało, że wpadała pani w oko tej Amerykance?

To znacząca postać. Ona jest uczennicą samego Cortota i Wilhelma Kempffa, dwóch najbardziej znanych europejskich pedagogów i pianistów XX wieku. Sama wyławia i szlifuje talenty, jest wybitnym pedagogiem i pianistką. W Idaho zaczęło brakować talentów, więc znalazła sponsora, który sfinansował jej podróże po świecie i nasze stypendia. Z mojego „zaciągu” przywiozła 10 osób, nie tylko z Polski, ale także z Finlandii, Węgier, Ukrainy.

Jaką wiedzę o was kierowała się Madeleine Hsu Forte?

Mnie odkryła we Wrocławiu. To odbywało się w ten sposób, że ona przyjeżdżała do akademii, dawała lekcje pokazowe, a potem nas słuchała. Osoby, które „wpadły jej w ucho” zapraszała do Stanów. To było w 1996, byłam wówczas na IV roku. Do dziś jestem z Madeleine w przyjacielskich stosunkach. We wrześniu, korzystając z zaproszenia, jadę na jej występ jubileuszowy z okazji 75. urodzin na Yale University.

Czy pani od urodzenia objawiała talent muzyczny?

Można tak powiedzieć. Zawsze lubiłam muzykę i granie, dość łatwo mi to szło. Moja mama skończyła szkołę muzyczną I stopnia na skrzypcach, a babcia śpiewała w chórach kościelnych. W szkole zbierałam piątki i chętnie występowałam na popisach i koncertach. Rodzice nie mieli wątpliwości, do jakiej szkoły powinnam pójść i wieku 7 lat skierowali mnie do bielskiej szkoły muzycznej. Odbywało się to w naturalnym, nieskomplikowanym rytmie. Nikt nie musiał zapędzać mnie do grania, robiłam to z przyjemnością. Ćwiczenie nigdy nie było dla mnie problemem. Z taką pasją się urodziłam, po prostu!

Jak długo trwało amerykańskie stypendium?

Rok. W Idaho robiłam podyplomowe studia Masters of Music, a potem od razu zdawałam na uczelnię w Nowym



FOT. LISA MAZZUCCO



FOT. LISA MAZZUCCO

Jorku (również jako stypendystka Manhattan School of Music i Fundacji Kościuszkowskiej). I w NY zostałam na następne siedem lat, kończąc kolejne studia podyplomowe i robiąc czteroletni doktorat. Nowy Jork to były dla mnie najbardziej trudne, intensywne i owocne lata. Studiowałam u jednego z najsławniejszych amerykańskich pianistów, Byrona Janisa, jedynego ucznia Horowitza, muzycznej legendy. Niesamowita atmosfera lekcji i kreatywność trwają do dzisiaj w mojej pamięci. Niewątpliwie Byron Janis był profesorem, który zdołał rozwinąć wszystkie moje talenty i jeszcze pogłębić miłość do muzyki.

Jakimi ścieżkami potoczyła się potem pani kariera? Intratne kontrakty?

Z kontraktami różnie bywa. Po prostu wzięłam sprawę w swoje ręce, sama pokierowałam losem, nie zdejając się na agentów czy menadżerów. Podczas mojego pobytu w Manhattan School of Music studiowało około trzystu pianistów. Tylko w tej jednej szkole, a jest ich znacznie więcej. I mają wysoki poziom. Pracujemy na zupełnie innym rynku niż w Polsce, gdzie dostanie się do konkursu chopinowskiego gwarantuje karierę. W Stanach tak nie jest. Konkursów jest dużo, ich wygranie nie zapewnia niczego. Decyduje więc także łut szczęścia, oczywiście poparty ciężką pracą.

Mówi się, że szczęściu trzeba pomagać...

Jasne, właśnie pracą, wygranymi konkursami międzynarodowymi, a najlepiej pieniędzmi. Jeśli się je ma, na przykład na nagrywanie płyt. To pomaga. Ale wynajęcie studia, instrumentów, ewentualnie innych muzyków kosztuje strasznie dużo.

O jakich kwotach mówimy?

Nagranie płyty w nakładzie 1000 egzemplarzy to wydatek rzędu 12 tysięcy dolarów. Rzecz jasna dobrej płyty, bo byle jaką można wydać i za 500 dolarów. Nawet największe nazwiska muszą czasami nagrywać na własną rękę i dopiero później kontaktować się z wytwórniami.

Z tego by wynikało, że rynek jest nasycony.

Powiedziałabym: przesycony. Co nie oznacza, że nie ma zapotrzebowania na muzykę klasyczną. Jest – i to duże. Trzeba mieć tylko trochę sprytu i szczęścia, żeby na tym rynku znaleźć swoje miejsce.

Pani dzieli swój zawód na dwie części: muzyka koncertującego i pedagoga...

Tak, jestem również profesorem na uczelni. Uczę w college'u William & Mary w Williamsburgu w Wirginii. Lubię mieć wolność, możliwość wyboru i decydowania o tym, co jest mi w danym momencie najbardziej potrzebne. To dotyczy także koncertów i miejsc, w których gram. Nie zależało mi nigdy, żeby uzależnić się od menadżera i być przez niego wysyłanym w jakieś dziwne miejsca. Moja droga jest taka, że w zależności od semestru na uczelni stawiam sobie jakieś cele i staram się je realizować. W jednym roku nagrywam płytę, w drugim organizuję sobie tournée po Azji, Australii albo Brazylii. Ale to ja decyduję, gdzie jadę, z jakimi orkiestrami i jaki repertuar gram, jakie miejsca będę zwiedzać, bo to także moja pasja. Łączę przyjemne z pożytecznym.

Wybiera pani tylko egzotyczne miejsca?

Nie, w Europie też występuję. Jedyne w okresie intensywnych studiów nowojorskich, gdy przyjeżdżałam do Polski, wolałam nie koncertować, lecz wypoczywać. W tym sensie Polskę trochę zaniedbałam i być może nie mam tu takiego nazwiska, jak gdzie indziej.

Zatem nie mamy szans, żeby panią tutaj usłyszeć?

Och nie! Nie jest tak źle, wystąpiłam w Polsce ze dwa albo trzy razy. Również w Bielsku-Białej w 2008 roku na Festiwalu Kompozytorów Polskich pod patronatem Henryka Mikołaja Góreckiego. To było niesamowite przeżycie, mam z nim nawet zdjęcie! Grałam także na zamku Sułkowskich, na zaproszenie pani Iwony Purzyckiej, dyrektorki Muzeum, która organizuje muzyczne poniedziałki. W zeszłym roku koncertowałam w Budapeszcie, także w Londynie, teraz mam w planie Lizbonę, a w lipcu i sierpniu będę grała na festiwalach we Włoszech i Niemczech, między innymi z wybitnym rosyjskim wiolonczelistą Mishą Quintem. Nie omijam Europy, chociaż muszę powiedzieć, że czasami to Europa mnie omija.

Ale od Polski nie odżegnuje się pani?

Skądże! Musiałby mnie tylko ktoś zaprosić, zorganizować koncert... Tutaj wydałam moją pierwszą płytę „Mazurki” Szymanowskiego z panią Małgosią Polańską, dyrektorką i reżyserką dźwięku z firmy DUX, z którą uwielbiam pracować. Chciałabym też w Polsce nagrać płytę z utworami Lutosławskiego, ale sponsorów na razie brak. Z płytami jest ten kłopot, że nie można na nich zarobić. Wszystko już można znaleźć w internecie. Pliki muzyczne z sieci nie są wysokiej jakości, ale dla większości słuchaczy nie ma to znaczenia. Dlatego najbardziej lubię koncerty, kontakt ze słuchaczami na żywo.

Lubi pani też pracę ze studentami?

Bardzo! Lubię uczyć, daje mi to inną satysfakcję niż koncertowanie. Cieszy mnie, że przekazywana przeze mnie wiedza pozostaje w studentach, że jest jakaś ciągłość artystyczna. Mam na przykład niezwykle utalentowanego 17-latka, który w tym roku wygrał już cztery konkursy, w tym trzy międzynarodowe. Wróżyć mu ogromną karierę. Ponieważ od maja do września mam wakacje na macierzystej uczelni, mogłabym także w Polsce w szkołach muzycznych i akademiach dawać lekcje pokazowe, co robię od lat z powodzeniem na całym świecie. Uczylałam między innymi w konserwatoriach muzycznych w Budapeszcie, Frankfurt, Pekinie, Tokio, Dżakarcie, na uniwersytetach w Brazylii, Nowej Zelandii, Australii i oczywiście w USA.

Ile godzin dziennie musi pani ćwiczyć?

Przyjmuje się, że muzyk musi ćwiczyć stale, kiedy tylko może, ale z wiekiem przychodzą pewne ograniczenia, ciało nie wytrzymuje obciążeń, zwłaszcza szyja, kręgosłup... Kiedy tylko mogę, ćwiczę 4-5 godzin dziennie. Nawet teraz, w czasie urlopu, w domu u mamy w Jaworzu, uczę się nowego repertuaru. Uczenie studentów jest wspaniałe, podróżowanie także, ale to dekoncentruje, więc trzeba grać dużo wtedy, kiedy można.

Jaki jest pani ulubiony repertuar? Czyje utwory pani preferuje?

To się zmienia. Kiedyś był Szymanowski, stale obecny jest Chopin, teraz grywam też bardzo dużo współczesnej muzy-



PAMIĄTKOWE ZDJĘCIE Z HENRYKIEM MIKOŁAJEM GÓRECKIM, BIELSKO-BIAŁA, 2008



PRZEŁĘCZ RENJO LA PASS (5.390 M) W DOLINIE KHUMBU. WIDOK NA MOUNT EVEREST, GRUDZIEŃ 2012

ki amerykańskiej. Ostatnio wracam do późnych, dojrzałych sonat Beethovena i Schuberta. To się chyba wiąże z wiekiem, refleksją życiową... Tak podejrzewam. Kiedy wyjeżdżam na tournée, gram tylko muzykę polską. Promuję ją w ten sposób na świecie. Jeśli sami nie będziemy promować polskiej kultury, to kto to zrobi za nas? Rzadko zdarza mi się grać coś z kompozytorów obcych. Dawno temu w Singapurze w pierwszej części grałam Liszta, ale w drugiej oczywiście Chopina. Często gram również w polskich konsulatach i ambasadach, więc siłą rzeczy żaden obcy repertuar nie jest tam oczekiwany.

Pomówmy o tym, co się dzieje za kulisami pani pracy.

Wielu ludziom wydaje się, że zawodowy pianista ma lekką pracę. Lata po świecie samolotami i gra utwory, których się kiedyś nauczył. Otóż tak nie jest. Kiedy się wraca po jakimś czasie do utworu, trzeba się go uczyć na nowo i niekiedy trwa to tygodniami. Nie ma repertuaru opanowanego raz na zawsze. To żmudna historia powrotów i ciągłych ćwiczeń.

No i o strojach trzeba pamiętać, żeby wyglądać elegancko...

Rzecz jasna wygląd ma znaczenie. Dla mnie największym koszmarem są... włosy. Jak znaleźć dobrego fryzjera w mieście, którego się nie zna? Męcząca i stresująca sprawa. Czasami trzeba się zdać na miejscowych. Ostatnio byłam w Hanoi i zaczęłam wypytywać o fryzjera, bo lubię dobrze wyglądać na scenie. Najpierw nikt nie wiedział, o co mi chodzi, w końcu zawieźli mnie do jakiegoś salonu, gdzie nikt nie mówił po angielsku. Kobieta zaczęła mnie wypytywać, czy chcę maskę. Myślałam, że chodzi jej o odżywkę na głowę. Powiedziałam, że tak, więc ona mnie obłożyła plasterkami ogórka, potem naalała mi wody do uszu, bo chyba przy takiej okazji myją też ludziom uszy. Koszmar! Obcy kraj, obce zwyczaje... Wietnamki mają inne włosy, chyba twardsze, więc z moimi nie do końca sobie poradziły. Nie byłam zadowolona z efektu końcowego, ale co zrobić?! Z ubraniami mam inną „tech-

nikę”, zawsze wożę z sobą dwie dyżurne suknie z materiału, który nie wymaga prasowania, bo z żelazkiem dla wirtuoza też różnie bywa. Poza tym w drodze coś się może podrzeć, odpruć, toteż trzeba się zabezpieczyć przed przykrymi niespodziankami. Przed koncertem lepiej się nie stresować takimi rzeczami.

A co jest najgorsze dla pianisty w podróży?

Brak instrumentu i czasami kompletne niezrozumienie ze strony organizatorów, że pianista musi poćwiczyć po 10-12 godzinach lotu. Przeważnie nie mają fortepianu, chociaż stale o tym mówię, proszę, błagam, żeby był. Najczęściej nie mają, a jeśli jest, to niedobry albo na krótko, albo nie o tej godzinie. Pianista nie ma więc wyboru i musi z tym żyć, po prostu. Zawsze są jakieś problemy z fortepianem. Chociaż nie – ostatnio koncertowałam na uniwersytecie w Richmond, gdzie wszystko było na tip-top. Za kulisami stało dwóch dżentelmenów ze słuchawkami na uszach, którzy kontaktowali się z sobą, gotowi podać mi na skinienie ręki a to wodę, a to banana, cokolwiek bym sobie zażyczyła. To była perfekcja. Wszystko dopięte na ostatni guzik, instrument nastrojony, światła ustawione jak należy, regulowane komputerowo, czas wyliczony co do minuty. Przyprowadzili mnie, odprowadzili, jednym słowem komfort.

Zawsze są jakieś przygody?

No, nie zawsze, ale się zdarzają: w Indiach, gdzie stał przy mnie jakiś mężczyzna i nie chciał opuścić sceny, taki tam mają obyczaj; w Nowej Zelandii, gdzie z kolei publiczność była zimna i nawet po bisach nie zorientowała się, że koncert się skończył i nie chciała opuścić sali; w Brazylii, gdzie w pierwszym rzędzie siedział mężczyzna i robił mi obsesyjnie przez cały koncert zdjęcia z flesztym. Mogłabym długo o tym opowiadać.

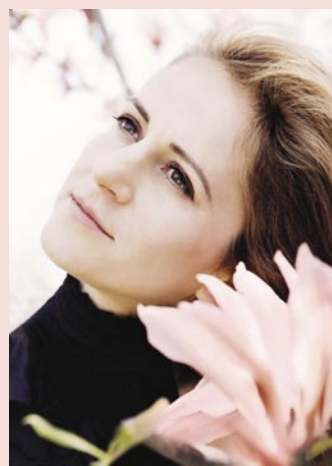
Wiem, że oprócz muzyki wielką pani pasją są góry. Te najwyższe, Himalaje. Proszę o tym powiedzieć.

Przygoda z górami zaczęła się już w liceum, kiedy schodziłam całe Tatry i często wracałam do mojego ulubionego miejsca, Doliny Pięciu Stawów. Z upływem czasu schodziłam też część gór w USA, odwiedziłam Alaskę, wspięłam się na górę Whitney, najwyższy wierzchołek w USA. Zwiedziłam też część Andów w Ameryce Południowej. Z czasem zaczęło mnie ciągnąć w Himalaje, jako że zawsze w górach najlepiej odpoczywam i regeneruję się po ciężkich trasach koncertowych. Decydując się na pierwszy wyjazd (trasa Everest Base Camp, 5.364 m) do Nepalu nie wiedziałam, że zakocham się w kulturze i uzależnię od Himalajów! Powracam tam z niesamowitą przyjemnością, choć powoli zaczyna brakować mi już tras trekkingowych, a od wspinaczki górskiej staram się trzymać z daleka. Zaliczyłam już Kanchenjunga Base Camp, Annapurna Base Camp i Circut, Gokyo Lake i Langtang, marzy mi się trasa wokół Dhaulagiri i Alpamajo w Peru, uważanej za najpiękniejszą górę świata.

Dziękuję za rozmowę.

ANNA KIJANOWSKA

Edukację muzyczną rozpoczęła w Państwowej Szkole Muzycznej im. Stanisława Moniuszki w Bielsku-Białej w klasie Marii Wałczyk, uczennicy prof. Andrzeja Jasińskiego. Tam też odniosła pierwsze sukcesy: II miejsce w Konkursie Bachowskim oraz wiele wyróżnień w konkursach pianistycznych na



poziomie wojewódzkim i krajowym. W 1992 rozpoczęła studia w Akademii Muzycznej w klasie prof. Józefa Stompla, jednak ze względów zdrowotnych zmuszona była do opuszczenia Katowic. Studia kontynuowała w Akademii Muzycznej we Wrocławiu w klasie prof. Pawła Skrzypka i prof. Włodzimierza Obidowicza. Dyplom magistra sztuki uzyskała w 1997. Jeszcze w czasie studiów we Wrocławiu została zaproszona przez Madeleine Hsu Forte do kontynuowania edukacji w USA. Podyplomowe studia w klasie słynnego pianisty, ucznia Horowitza, Byrona Janisa, ukończyła w 1999, a cztery lata później otrzymała tytuł doktorancki w Manhattan School of Music w Nowym Jorku.

Pianistka jest zdobywczynią nagród i laureatką wielu międzynarodowych konkursów, w tym: MTNA Collegiate Artist Competition, USA (I nagroda), ITNA Artist Competition, USA (I nagroda), Trofeo 6th International Competition, Włochy (II nagroda), Frinna Awerbuch International Competition, New York (wyróżnienie). Występowała w wielu salach koncertowych w Europie, Azji, Południowej Afryce, Australii, Nowej Zelandii i USA: Carnegie Hall w Nowym Jorku, w Konsulacie RP i Fundacji Kościuszkowskiej w NY, Kennedy Center i National Gallery w Waszyngtonie, a także w Japonii, Indiach, Chinach, Hongkongu, Tajlandii, Wielkiej Brytanii, Niemczech, Indonezji i na Ukrainie. Jej nagranie *Mazurków* Szymanowskiego (DUX 417) zyskało uznanie krytyków, w tym również *The New York Times* w Nowym Jorku i *Magazynu Muzycznego BBC* w Londynie. Recenzent z *All Music Guide* napisał: „Występy Kijanowskiej są niesamowicie wirtuozowskie, oszałamiająco charyzmatyczne, zdumiewająco głębokie i nieodparcie fascynujące”. *Fanfare Magazine* (USA) okrzyknął *Mazurki* Szymanowskiego „najlepszą interpretacją tych utworów na świecie”. Brazylijski krytyk w 2010 nazwał ją „Tiną Turner muzyki klasycznej”. Anna Kijanowska brała również udział w wielu audycjach radiowych i telewizyjnych na całym świecie. Obecnie jest profesorem fortepianu na uczelni William & Mary w Wirginii, USA. Więcej szczegółów na stronie www.annakijanowska.com.

BYŁO, NIE MINĘŁO

NEL ZACHWYCIŁA ZNOWU

Monika Rosca, odtwórczyni roli Nel Rawlison w adaptacji powieści Henryka Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy” w reż. Władysława Ślesickiego z 1973 roku, bardzo polubiła Bielsko, zwłaszcza po grudniowym wywiadzie w magazynie *Lady's Club*. Jako aktorka była gwiazdą jednego filmu, dziś jest znakomitą pianistką. W marcu podbiła serca melomanów występem w Bielskim Centrum Kultury w koncercie „Muzyczne podróże z Nel”. Na skrzypcach zagrał lider Orkiestry im. Telemanna Piotr Sadowski, a w partiach wokalnych śpiewała sopranistka Jolanta Kremer. W programie usłyszeliśmy kompozycje Rossiniego, Chopina, Mozarta, Pergolesiego, Bacha i muzykę filmową. Tego dnia publiczność otrzymała dodatkowo egzemplarze magazynu *Lady's Club*, w którym zamieszczony został wywiad z Moniką.



Zdjęcia ROMAN ANUSIEWICZ



SUKCES JARZĘBINEK

Jury 10. Ogólnopolskich Spotkań Tanecznych Spontan 2013, organizowanych przez Ośrodek Działań Artystycznych Dorożkarnia w Warszawie, przyznało I miejsce w kategorii etiuda taneczna Zespołowi Tańca i Piosenki Jarzębinki z Bielskiego Centrum Kultury. Zespół rywalizował w Sali Kongresowej z 60 prezentacjami w wykonaniu 40 grup tanecznych z 15 miast. Jarzębin-

ki powstały w 1986 roku, prowadzi je Barbara Komarnicka-Drużbicz. Repertuar grupy to kilkugodzinne widowisko, pełne barw, ekspresji i emocji, oparte na tańcu klasycznym, jazzowym, współczesnym. W programie wykorzystywane są również elementy akrobatyki, tańców charakterystycznych, towarzyskich i nowoczesnych (hip-hop, funky).



MODNY ŚLĄSK

W tym roku w maju w ramach Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach i Zabrzu odbyła się impreza Modny Śląsk. Uczestnicy kongresu i obserwatorzy mody mogli zobaczyć, co ciekawego proponują młodzi ślascy projektanci. Gala II edycji Modnego Śląska odbyła się w scenerii starego dworca PKP. Pomyśłodawczynią i organizatorką imprezy była Ilona Kanclerz. Można było zobaczyć m.in. projekty Anny Drabczyńskiej z Bielska i Dominiki Maniek z Chorzowa. Przedsmakiem gali były zmagania konkursowe młodych projektantów w pokazach „Who Now, Who's Next?” Osiem kolekcji zaprezentowali Agnieszka Warsz, Magda Pogorzelska, Sylwia Kasela, Małgorzata Salamon, Olga Pokrywka, Paulina Mieczkowska, Adrian Kurowski i Aga Paul.

BABSKI DIZAJN

Przez sześć tygodni Zamek Cieszyń gościł wystawę „Babski



dizajn. Domowe wynalazki w rękach kobiet”, prezentującą projekty przeznaczone dla współczesnych gospodyń domowych. Inspiracją dla ekspozycji stał się wydany sto lat temu podręcznik „Gospodarstwo kobiece w mieście i na wsi” Marii Ochorowicz-Monatowej. „Rozumna oszczędność grosza i czasu, umiejętnie zorganizowane zajęcia i praca, dobrze zorganizowany budżet, zastosowany ściśle do dochodów domu, to rękojmią spokojnego życia i szczęścia całej rodziny” – zauważyła 100 lat temu autorka. Na wystawie można było oglądać projekty przeznaczone do kuchni, łazienki, salonu, pokoju dziecięcego czy na taras. Projektantka Katarzyna Herman-Janiec podkreślała, że kobiety na co dzień muszą być „wielofunkcyjne”, bo pełnią wiele ról, co przekłada się na ich projekty. Także pozostałe projektantki potwierdzały, że oprócz walorów estetycznych ważna jest użyteczność przedmiotów.

FESTIWAL JAK MARZENIE

Mezzosopranistka Magdalena Kulig i pianistka Magdalena Blum (na zdjęciu) stworzyły Dolnośląski Festiwal Muzyczny. Miejszem pierwszej edycji stała się ziemia kłodzka. – Chcemy pokazać szerszej publiczności piękne, a mało znane kościoły i pałace – mówi



Magdalena Kulig, dyrektor festiwalu. W kościele św. Jana w Ołdrzychowicach Kłodzkich zabrzmiała 26 maja *La Petite Messe Solenne* Rossiniego w wykonaniu Ewy Biegas (sopran), Magdaleny Kulig (mezzosopran), Giulia Pelligry (tenor), Mariusza Godlewskiego (baryton), Magdaleny Blum i Grzegorza Biegasa (fortepian), Marcina Armańskiego (fisharmonia) oraz chóru Filharmonii Wrocławskiej pod batutą Agnieszki Franków-Żelazny.

Prawdziwa siła festiwalu kryje się jednak pod nazwą *matinée*. Adresatami koncertów będą rodziny: rodzice i dzieci. To właśnie pod kątem najmłodszych organizatorzy dobrali repertuar. – *Matinée*, czyli poranki muzyczne, to połączenie koncertu z opowieściami o instrumentach i kompozytorach. Wzbogacają je elementy zabawy i zagadki muzyczne – dodaje Magdalena Kulig. – To koncepcja jest bardzo popularna w Europie Zachodniej. Chodzi w niej o budzenie u dzieci i młodzieży wrażliwości na muzykę klasyczną. Tegoroczne poranki będą się odbywać w Polanicy-Zdroju. (PZ)



MOKATE W WILANOWIE I ŁAZIENKACH

18 i 19 maja firma Mokate z Ustronia wyraźnie zaznaczyła swoją obecność w Warszawie. Na dziedzińcu Pałacu w Wilanowie obchodzono 330. rocznicę bitwy pod Wiedniem. Licznie przybyłych gości witano herbatą Loyd i kawą Lavazza, ufundowanymi przez Mokate. Były inscenizacje w strojach z epoki, projekcje multimedialne i pokaz mody „Marie na Królewskim Dworze”. Pokaz zaprezentowały panie uczestniczące w projekcie „Debiutantki” prowadzonym przez Europejskie Forum Przedsiębiorczości. W jego kapitule zasiadają m.in. Beata Tyszkiewicz, Lidia Popiel, Joanna Klimas, Laura Łącz i Sylwia Mokrysz. Następnego dnia w odbyły się zawody jeździeckie „Łazienki Królewskie CUP”. Imprezy w tym cyklu organizowane są przez Akademię Sztuki Jeździeckiej Karoliny Wajdy we współpracy z Muzeum Łazienek. Gościom i zawodnikom w zmaganiach także towarzyszyły herbaty Loyd oraz kawy Mokate i Lavazza. Nie zabrakło rozstawionych w parku i na hipodromie ogromnych filiżanek ze znakiem firmowym Mokate. Znajdowały się w nich szaszetki nowego kawiarnianego menu Mokate „Moje inspiracje”.

EKSCYTUJĄCY KONCERT

W piątek 24 maja w Domu Muzyki Bielskiego Centrum Kultury wystąpił wirtuoz skrzypiec Nigel Kennedy w premierowym programie „Bach + Fats Waller”. Kennedy grał solo i z zespołem w składzie: Rolf Bussalab (gitara), Yaron Stavi (kontrabas) i Krzysztof Dziedzic (perkusja, nawiasem mówiąc – bielszczanin). Panowie byli w genialnej formie i przez prawie trzy godziny bawili publiczność nie tylko utworami Bacha i Wallera, ale także innych kompozytorów w aranżacjach klasycznych, jazzowych (rewelacyjnie wykonali standard *Take Five*), folkowych (w klimatach irlandzkich i węgierskich) i punkowych. Kennedy żartował przy tym, wychodził do publiczności i przybijał z muzykami zółwika po niemal każdym utworze. Angielski artysta urodził się 28 grudnia 1956 w Brighton. Był uczniem Yehudi Menuhina, absolwentem Juilliard School w Nowym Jorku. Drogę do sławy uTORowały mu wspólne koncerty ze skrzypkiem Stephane Grappellim i wizerunek wirtuoza-punka. W 1989 wydał płytę *Cztery pory roku* Antonio Vivaldiego. W ciągu 6 miesięcy sprzedał ponad 2 mln egzemplarzy. Gra na XVIII-wiecznych skrzypcach Guarneri del Gesù i na Stradivariusie (skrzypce dostał od Dorothy Jeffries, która zapisała mu je w testamencie z adnotacją, że po zakończeniu kariery musi je przekazać innemu młodemu i utalentowanemu skrzypkowi). Kennedy i jego koledzy dali olśniewający, akustyczny program, pełen subtelności i żaru, więc nic dziwnego, że bisowali przez ponad pół godziny, a słuchacze wcale nie chcieli ich puścić ze sceny.



FOT. LUCJUSZ CYKARSKI/BIELSKIE CENTRUM KULTURY



PIĘKNI SĄ WŚRÓD NAS

Konkurs Miss Beskidów obchodził w niedzielę 19 maja jubileusz 25-lecia. To było nie tylko święto piękności, powabu i elegancji, ale także, a może przede wszystkim, prowadzącej od początku tę imprezę Lucyny Grabowskiej. Magazyn *Lady's Club* był jednym z patronów medialnych gali Miss Beskidów, Miss Południa Nastolatek i Mister Beskidów 2013. A skoro jubileusz, przybyły także niemal wszystkie finalistki z poprzednich lat, dziś już dojrzałe kobiety. Ich obecność dowodziła trafności niegdyśszych wyborów, wszystkie panie zachowały urodę i klasę. Kandydatki do tegorocznych tytułów zaprezentowały się w sukniach wieczorowych, koktajlowych, kostiumach kąpielowych i kreacjach ślubnych. Specjalnie na ten wieczór w Bielskim Centrum Kultury część swojej kolekcji udostępniła bielska projektantka Anna Drabczyńska. Kandydaci pokazali się w garniturach i strojach sportowych. Furorę zrobiła odsłona ich nagich torsów! Poszczególne występy konkursowe przedzielane były pokazami tanecznymi. Decyzją jurorów tytuł Miss Beskidów zdobyła Katarzyna Kwaśny, 18-latką z Jasienicy (173 cm); Misterem Beskidów został 23-latek Piotr Chmielniak z Bielska-Białej (183 cm); tytuł Miss Południa Nastolatek przypadł w udziale 18-letniej Joannie Dudzińskiej, także z Bielska-Białej (175 cm). Tytuł Miss 25-lecia otrzymała Aleksandra Kot, Miss Beskidów 2009. Nagrodami głównymi dla Miss i Mistera Beskidów 2013 będą studia w Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania.



ZDJEŃCIA ROMAN ANUSIEWICZ

MAGIA CZARNEJ ORCHIDEI

Miły wieczorek w aromacie czarnej orchidei i czekolady dla swoich gości i klientek zorganizowała 23 maja Dermika Salon & Spa przy ul. Wyspiańskiego w Bielsku-Białej. Nosił nazwę „Magia orchidei”, a prowadziła go Izabella Otto, właścicielka Dermiki. Przez kilka godzin licznie przybyłe panie miały okazję zapoznać się z najnowszymi zabiegami wyszczuplającymi i odmładzającymi, m.in. mezoliftingiem CL-HA (świetna alternatywa dla metod inwazyjnych), endermologią LPG, programem antycellulitowym Arosha, liftingiem skóry za pomocą fal radiowych z urządzenia Trio

XT, refleksologią, linią kosmetyków Mesotherapist (na czele z regenerująco-naprawczym olejkami na twarz, szyję i dekolt o nazwie *Czarna Orchidea*). Hitem wieczoru była „kąpiel” w czekoladzie, połączona z masażem kojąco-rozluźniającym na cztery ręce, któremu poddała się modelka Sara. Nie zabrakło poczęstunku i loterii z upominkami. Prezentację najnowszych zapachów dla pań i panów przygotowała także perfumeria Douglas, a specjalistka ds. wizerunku, Agata Zolich, udzielała cennych rad paniom, które zawsze chcą dobrze i modnie wyglądać.



ZDJEŃCIA MAGDALENA OSTROWICKA



GENERACJA X, Y, C

Na rynku pracy kotłuje się od radykalnych zmian

ĆWIERĆ WIEKU W JEDNYM MIEJSCU PRACY? NA PEWNO NIE! RYNEK PRACY GWAŁTOWNIE PRZEKSZTAŁCA SIĘ, A NOWE POKOLENIE, KTÓRE NA NIEGO WCHODZI, ZMIENIA ZASADY GRY I NASZE ROZUMIENIE ZATRUDNIENIA. UŻYWA DROPBOXA, ŻEBY DZIELIĆ SIĘ PLIKAMI, NOTATKI ROBI W EVERNOCIE, ROZMAWIA PRZES SKYPE'A I NIEUSTANNIE PODPIĘTE JEST DO FACEBOOKA. TO POKOLENIE Y.

Y, CZYLI KTO?

Pojęcie pokolenia Y pojawiło się po raz pierwszy w 1993 roku w amerykańskim magazynie *Advertising Age*. Y to dzieci *baby boomers* lub pokolenia X, czyli urodzonych po II wojnie światowej (do roku 1980). Na Zachodzie był to okres dobrobytu, rynek pracy działał w warunkach stabilizacji i wyjątkowych świadczeń socjalnych. W Polsce rzeczywistość wyglądała inaczej i pokolenie X też było inne, wychowane w warunkach gospodarki centralnie planowanej i raczej pustych półek. Dla przedstawicieli tego pokolenia praca była niezwykle ważna, potrafili przedkładać ją nad życie osobiste. Pokolenie X bez protestów godziło się na zajęcia w nadgodzinach, było lojalne wobec jednego pracodawcy – najczęściej nie zmieniał go przez całe życie. Pokolenie Y definiowane jest różnie. Zazwyczaj przyjmuje się, że to osoby urodzone w latach 80. i na początku lat 90.

Wyznacznikami przynależności do Y jest świadomość wolnego rynku, umiejętność wykorzystywania wszystkich jego możliwości, łatwa adaptacja nowych technologii i elastyczność w wykorzystywaniu nowoczesnych mediów. Pokolenie Y to osoby wychowane w dostępie do internetu, niepotrafiące żyć bez elektroniki. Nowe technologie są nieodłączną częścią ich życia – nie tylko zawodowego, ale i prywatnego. Jak wynika z raportu fundacji BPW, dotyczącego pokolenia Y, jego członkowie do 2025 roku będą stanowili 75% światowej siły roboczej.

NOWI NADCHODZĄ

Jak twierdzi Marek Prujsczyk, ekspert HR (Human Resources, doradztwa personalnego) w raporcie „Wyzwania HR 2013”, zarządzanie pokoleniem Y jest jednym z siedmiu najtrudniejszych wyzwań stojących przed osobami kierującymi zasobami ludzkimi – obok zmian w strukturze

demograficznej, sterowania różnorodnością, presji na efektywność kosztową, narastającego deficytu kompetencyjnego, zarządzania rozproszonymi zespołami i elastyczności prawa pracy.

Staranne wykształcenie, znajomość języków obcych i umiejętność przyswajania dużej ilości wiedzy w krótkim czasie to coś, w co inwestują przedstawiciele pokolenia Y, do czego przywiązują ogromne znaczenie i co proponują pracodawcy. To dobrzy i utalentowani pracownicy z dużymi wymaganiami, wychowani w duchu indywidualizmu i realizacji własnych planów. Igrek oczekują dla siebie warunków, które będą im najbardziej odpowiadały, charakterystycznych dla swojego sposobu pracy. Nastawieni są na cel i rezultaty, bardzo dobrze pracują pod presją czasu i terminów. Świadomi swojej wartości, nie mają żadnych kompleksów, odważnie negocjują z pracodawcami nie tylko kwestie finansowe, ale przede wszystkim elastyczne warunki pracy. Nie chcą dla zasady spędzać czasu w biurze, zależy im na wykonaniu zadania, a to mogą robić w każdym miejscu. Istotnym aspektem jest też dla nich sposób spędzania wolnego czasu, czyli *work-life balance*, zachowanie proporcji między pracą a prywatnymi sprawami.

Witold Moszyński, dyrektor departamentu zarządzania zasobami ludzkimi w firmie Money Expert, w raporcie „Wyzwania HR 2013” napisał: „Firmy potrzebują nowych talentów, ale nie potrafią im zapewnić takich warunków, jakich młodzi dziś coraz częściej oczekują. Nowe pokolenie pracowników nie traktuje zatrudnienia jako celu samego w sobie – to tylko jeden z projektów w życiu. Chcieliby łączyć pracę z realizacją własnych marzeń, czasem poświęconym dla przyjaciół i najbliższych, studiami, podróżami etc. Niestety, pracodawcy w większości nie potrafią być elastyczni”.

Wyzwaniem jest też komunikacja z generacją Y, która musi przyjąć formę konkretnej informacji, mocnego argumentu i krótkiej instrukcji. Trzeba mieć świadomość, jak odbierają informacje i jak powinien być sformułowany komunikat, żeby został poprawnie odebrany. Wszystko powinno być wypunktowane, konkretne i pozbawione ozdobników języ-

kowych. Współczesny przepływ informacji jest tak duży, że trzeba filtrować te niepotrzebne. Sposób komunikacji jest też problemem w kontaktach z pokoleniem X. Igrek wyrazi w dwóch punktach to, co Iksowi zajmie kilka zdań. Do tego dochodzi problem komunikacji bezpośredniej, która dla Igreków nie jest koniecznością. Doskonale wykorzystują nowinki techniczne, spotykając się na wideokonferencjach, rozmowach on-line przez Facebooka czy Skype’a. Do takich sytuacji przyzwyczajają ich praca w zespołach rozproszonych po całym świecie.

POKOLENIE C

Pokoleniu Y depcze już po piętach nowa generacja, nazywana pokoleniem C, od angielskich słów *connect*, *communicate*, *change*, które oznaczają połączenie, komunikację i zmianę, czyli najważniejsze cechy określające ich życie i oczekiwania wobec pracy. Pokolenie C nie wie, co to świat bez internetu. Przyjmuje się, że to osoby urodzone po 1990 roku, jednak o przynależności nie decyduje moment urodzenia, a fakt, że są to osoby, dla których internet i media społecznościowe stanowią nieodłączną część życia. Bez nich nie mogą funkcjonować ani pracować. Generacja C dzięki urządzeniom mobilnym podłączona jest do sieci przez 24 godziny na dobę i drugie życie prowadzi wirtualnie. Najłatwiej ją znaleźć w necie, a co za tym idzie, także przyjąć do pracy. Coraz większe znaczenie zyskują nowoczesne metody rekrutacji, oparte o obecność pracodawców na portalach społecznościowych. Rekrutacja 2.0, bo tak nazywa się ten trend, wymusza na pracodawcach dbanie o wizerunek w sieci, a na poszukujących pracy świadome zarządzanie reputacją i ostrożność w publikowaniu czegokolwiek, co mogłoby wpłynąć negatywnie na ich obraz jako kandydatów.

Igrek mogą się wiele nauczyć od pokolenia C, zwłaszcza innego podejścia do pracy i życia. Ci z generacji C są elastyczni, żyją intensywnie, robią wszystko, by mieć jak największy wpływ na swój prywatny czas, a pracy szukają tam, gdzie mają możliwość wykazania się kreatywnością. Nie zagrzeją nigdzie dłużej miejsca, ciężko znoszą nadzór przełożonych i podporządkowanie hierarchii. Jak wynika z raportu „Rise of Generation C” firmy Booz & Co., dzięki ludziom C do 2014 roku ponad połowa światowej siły roboczej będzie flexi, czyli w pełni zaakceptuje elastyczny czas pracy, elastyczne umowy i pracę zdalną. Potwierdza to badanie przeprowadzone przez portal Pracujflexi.pl i Uniwersytet Ekonomiczny w Poznaniu na 200 polskich respondentach urodzonych po 1990 roku. W tej grupie nikt nie zadeklarował chęci pracy dla jednego pracodawcy przez całe życie.

ŁUKASZ LENARD





KRZYSZTOF MAURER Z SYNEM PREZENTUJĄ SOKI Z ŁĄCKIEJ TŁOCZNI

KRZEPI SERCA, KRASI LICA...

Z **KRZYSZTOFEM MAUREREM**, WŁAŚCICIELEM TŁOCZNI MAURERA W ŁĄCKU, ROZMAWIA ROMAN ANUSIEWICZ

Co było pierwsze? Śliwowica z Łącka, o której mówi cała Polska, czy pana firma?

Tradycja sadownicza była u nas kultywowana przez dziadków i ojca. Cały czas prowadzili gospodarstwo. Mieszkający w tym regionie moi dziadkowie i przodkowie moich dziadków „od zawsze” wytwarzali śliwowicę. To było też normalne w co drugim domu. Ja natomiast zacząłem przetwórstwo soków.

Destylaty ze śliwek mają u was długą tradycję...

Bardzo długą, jeszcze z czasów zaboru austriackiego. Za monarchii austro-

-węgierskiej każdy mógł legalnie produkować okowitę. Za II RP również. Po wojnie to się skończyło, mieliśmy śliwki i recepturę, ale nie mieliśmy zgody na produkcję. Za śliwowicę można było pójść nawet do więzienia. Państwo miało monopol na wszystko. Ale ludzie zawsze coś tam pędzili, hobbystycznie można powiedzieć, z owoców, które się nie sprzedawały. Głównie 70-procentową śliwowicę, bo w rejonie Łącka tyle musiała mieć, żeby utrzymać jakość.

Czyli do herbatki z prądem?

Tak, do herbatki góralskiej. Tutaj to się powszechnie praktykowało. Sposób

wytwarzania był prosty. Destylowano dwukrotnie na parnikach, które służyły równocześnie do innych celów w gospodarstwie. Utrzymanie mocy 70% gwarantowało dobrą jakość trunku. Poniżej tej normy mogło być różnie ze smakiem alkoholu.

A jak się zaczęła pana działalność?

Urodziłem się w sadzie, dosłownie. Moją mamę na porodówkę wzięli prosto z sadu. W ten sposób z sadem związany jestem od urodzenia. Ojciec prowadził hodowlę bydła i uprawy sadownicze. Ale mnie ciągnęło tylko do sadów. Studia o profilu sadowniczym skończyłem na Akademii Rolniczej w Krakowie. Zacząłem produkcję soków i myślałem, że będę je robił przy gospodarstwie sadowniczym. Ale nasze realia nie pozwalają na to, w 2003 r. musiałem zarejestrować działalność gospodarczą. W tym roku obchodzimy 10-lecie firmy. W tym czasie zaangażowałem się w przekonywanie władz i parlamentarzystów do zmiany przepisów, aby w Łącku w uproszczony sposób rolnicy mogli produkować śliwowicę legalnie. W tej chwili i tak produkują w co drugim domu, ale nie można jej wprowadzać do obrotu. Ta produkcja uznana została za niematerialne dobro kultury i oznaczona perłą naszego kulinarnego dziedzictwa. Ma jeszcze inne wyróżnienia. Śliwowica wpisana została na listę produktów tradycyjnych i opatentowana jako wspólny, towarowy znak gwarancyjny.

I mimo wszystkich tych oznaczeń nadal wytwarzacie nielegalnie?

Przez 10 lat z różnymi środowiskami z Łącka i lokalnymi politykami próbowałem wywierać nacisk na władze, żeby zmienić przepisy. Przez izby rolnicze i Izbę Produktu Regionalnego. Ale jakoś się nie udawało. Niektórzy mówili, że to fatum. W 2006 r. powstał zespół międzyresortowy i wydawało się, że wreszcie sprawa pójdzie do przodu, ale pękła jak bańka mydlana. Wtedy stwierdziłem, że nie ma co się wysilać, bo rządzącym wcale na tym nie zależy. Skupiłem się na swojej działalności. Przez 2 lata analizowałem przepisy, by dostosować się do legalnej

produkcji. Od 2008 do 2010 załatwiałem papiery, żeby otworzyć winiarnię, aż wreszcie w 2012 r. rozszerzyłem działalność o produkcję destylatów i wyrobów spirytusowych. Ponieważ udało mi się i obecnie produkuję już legalnie, moje wyroby podlegają różnym kontrolom i nie ma mowy o tym, żeby trunki miały złą jakość. Każdą partię oddaję do przebadania w laboratorium.

W naszych sklepach nie widać jednak pana produktów...

Są w niektórych marketach, ale głównie w sklepikach ze zdrową żywnością i produktami regionalnymi. Coraz więcej sprzedajemy także przez internet. Robi się również moda na turystykę weekendową, dzięki temu tacy drobni producenci jak ja mają szansę swoje produkty sprzedawać.

Pańska firma jest jedyna w Łącku, czy jest jeszcze ktoś?

Na razie jestem jedyny, choć przypuszczam, że przez rok, dwa inni będą mi się przyglądać, czy to ma sens, bo legalna produkcja alkoholu sprawia, że jest on dwa razy droższy od nielegalnego. Zobaczymy, co będzie się działo dalej. Dało to trochę do myślenia politykom. Słyszałem, że w Komisji Rolnictwa Sejmu dyskutuje się, co zrobić, żeby inni też mogli produkować. Dla zwykłego sadownika, rolnika, jest to droga nie do przejścia. Trzeba być takim desperatem jak ja, żeby to zrobić, nie kalkulując, czy to się opłaci, czy nie. Procedura i koszty związane z rozpoczęciem produkcji legalnej są ogromne.

Stosuje pan stare, sprawdzone receptury, czy też trochę eksperymentuje?

Trzymam się starych metod i receptur. Tak to robię, jak kiedyś sam podglądałem i jak starsi ludzie mi przekazywali.

Ludzie nie wiedzą, że w Łącku produkuje się nie tylko śliwowicę.

Gdy zaczynałem z sokami, patrzyli dziwnie. Dzisiaj w Łącku jest chyba 10 tłoczni soków naturalnych. A jeśli chodzi o inne smaki, to nie jest tak, że wszyscy chcą kosztować tylko śliwowicy. Kobiety wolą malinowicę, porzeczkowicę, gruszkowicę. Jabłko też cieszy się zainteresowaniem. Jabłkowa brandy stanie się, myślę, naszym łąckim calvadosem. Śliwowica jest słynna, bo o niej głośno, ale znajdują się koneserzy innych trunków, trzeba tylko przez kilka lat zbudować nowy rynek. W tym roku wyprodukowałem małą partię tradycyjnej borówkowicy. Co ciekawe, głównie myśliwi ją kupują, bo ma specyficzny smak, czuć ją lasem, igliwiem, ściółką.

Czy to jest opłacalny biznes?

Dla mnie to przede wszystkim ciekawe doświadczenie, a nie wielki interes. Do produkcji podchodzę z pasją, bo w sadzie się urodziłem, robię to, co lubię i co kiedyś wydawało się nie-realne. Pokonałem gigantyczną barierę przepisów i to mnie cieszy, bo mogę produkować legalnie, nie bojąc się, jak moi przodkowie, że wjedzie policja i zarekwiruje mi wszystko.

Będzie pan miał co przekazać synom...



A TU WŁAŚCICIEL Z NAPOJAMI Z BANDEROLĄ PRZY OBSYPANEJ OWOCAMI ŚLIWIE

Dzisiaj można pracować wszędzie, świat jest otwarty, trudno o przywiązanie do rodzinnych tradycji. Moi synowie są jeszcze młodzi, ale zaczynają się interesować pracą w firmie i to mnie cieszy.

Wina też pan produkuje?

Tak, w kilku smakach. Są to winka owocowe, słodkie, na recepturach od mamy. Bez dodatków, niesiarkowane, niekonserwowane i niepasteryzowane. Kiedyś było tak, że trunki mocniejsze wytwarzali u nas dziadek i ojciec, ale musieli się z tym ukrywać, wina natomiast można było produkować zgodnie z prawem na własne potrzeby. W starym domu na piecu stało kilka balonów, w których fermentowały nastawy z czerwonej porzeczki, z winogron.

Teraz więc żona dogląda win, a pan okowity?

Żona raczej dogląda papierów. A ja kontroluję także produkcję win, korzystając z porad mamy. Temat polskich win jest ciężki, bo nie kojarzą się dobrze, za sprawą jaboli. Kraje północy, do których Polska się zalicza, nigdy nie będą krajami winiarskimi, bo klimat na to nie pozwala. Dlatego powinniśmy wrócić do tradycyjnych metod wytwarzania win. Próbuję je reaktywować, bo u nas branża winiarska upadła całkowicie.

Czy wystawia pan swoje produkty na targach?

Oczywiście, na targach ekologicznych i z produktami regionalnymi. Ostatnio nawet w Japonii, Chinach i USA. Takie wyjazdy i degustacje mobilizują. Ostatnio, gdy byliśmy na Grüne Woche w Berlinie, nikt z odwiedzających nasze stoisko nie dowierzał, że w Polsce pojawiła się taka produkcja. Wystawiłem destylaty w 12 smakach. Niemcy, Austriacy i Szwajcarzy ze zdumienia oczy otwierali, pytali, czy to nie mieszanek spirytusu z aromatami. Byli zdziwieni, że oryginalne destylaty powstają w Polsce. Takie chwile, medale i wyróżnienia zachęcają mnie do prowadzenia tej działalności. Cała nasza produkcja jest ekologiczna, z owoców pochodzących z małych gospodarstw w Łącku i Sądecczyźnie.

Dziękuję za rozmowę.



W biografiach próżno szukać skandalu z udziałem Audrey Hepburn

ZABAWNA BUZIA

GRAŻYNA KUROWSKA

BÓG CMOKNĄŁ JĄ W POLICZEK I TAK JUŻ ZOSTAŁO – POWIEDZIAŁ O NIEJ BILLY WILDER, REŻYSER „SABRINY” (ALE I „PÓŁ ŻARTEM, PÓŁ SERIO”). KRYTYCY Z AMERYKAŃSKIEGO INSTYTUTU FILMOWEGO PRZYZNALI JEJ TRZECIE MIEJSCE W RANKINGU 50 LEGEND EKRANU. WYSTĄPIŁA W PIĘCIU FILMACH, KTÓRE ZNALAZŁY SIĘ NA LIŚCIE 100 NAJLEPSZYCH AMERYKAŃSKICH FILMÓW O MIŁOŚCI („RZYMSKIE WAKACJE”, „SABRINA”, „MY FAIR LADY”, „DWOJE NA DRODZE”, „ŚNIADANIE U TIFFANY’EGO”).

Kiedy Audrey Hepburn nie otrzymała nominacji do Oscara za rolę Elizy Doolittle w „My Fair Lady”, wielka gwiazda amerykańskiego kina, Katherine Hepburn, wysłała jej pocieszający telegram: „Nie przejmuj się, któregoś dnia dostaniesz nominację za rolę, która nie będzie tego warta”. Jak na ironię, kiedy Audrey w 1967 roku otrzymała kolejną nominację do Oscara za film „Doczekać zmroku”, przegrała właśnie... z Katherine Hepburn.

Audrey Hepburn urodziła się w Brukseli 4 maja 1929 roku. Była jedynym dzieckiem Anglika Josepha Rustona i jego drugiej żony, baronowej Elli van Heemstry, córki byłego gubernatora holenderskiej Gujany. Ojciec Audrey do swojego nazwiska dodał później nazwisko dalszych krewnych i stąd Hepburn-Ruston. Dziewczynka miała dwóch przyrodnych braci, Alexa i Iana, którzy byli synami baronowej z jej pierwszego małżeństwa.

Praca ojca w agencji ubezpieczeniowej w Wielkiej Brytanii powodowała, że rodzina była zmuszona ciągle podróżować pomiędzy Belgią, Anglią i Holandią. Hepburn chodziła do prywatnej szkoły dla dziewcząt w Kent. W 1935 roku jej rodzice rozwiedli się, co później nazwała najbardziej traumatycznym przeżyciem w swoim życiu. Po latach odnalazła ojca dzięki pomocy Czerwonego Krzyża w Dublinie. Pozostawała w nim kontakcie i udzielała mu wsparcia finansowego aż do jego śmierci.

EDDA ZAMIAST AUDREY

W 1939 roku baronowa zdecydowała o przeniesieniu córki i synów do domu ich babci w Arnhem w Holandii. Audrey przybrała wówczas imię i nazwisko Edda van Heemstra. Jej z angielska brzmiące imię mogło bowiem narazić ją na niebezpieczeństwo w okupowanej przez hitlerowców Holandii. W czasie wojny Audrey zaczęła chodzić do konserwatorium, gdzie pobierała również lekcje baletu. Do roku 1944 stała się prawdziwą baletnicą. Tańczyła dla publiczności, a w czasie jej występów patrioci holenderscy zbierali pieniądze dla podziemia.

Po wyładowaniu alianatów życie w Arnhem stało się jeszcze trudniejsze. Miasto zostało zniszczone podczas nalotów. Wujek Audrey i kuzyn baronowej zostali rozstrzelani przez Niemców jako członkowie ruchu oporu, a jej przyrodni brat Ian trafił do obozu pracy. W zimie 1944 roku naziści skonfiskowali resztki żywności i zapasy paliwa. Bez ogrzewania i jedzenia ludzie umierali z głodu i mrozu na ulicach. Rodzina Hepburn, podobnie jak wiele innych, robiła mąkę z bulw tulipanów i piekła z niej chleb. Niedożywienie spowodowało u Audrey anemię, problemy z oddychaniem i obrzęki kończyn.

Już po wojnie Hepburn opuściła konserwatorium i przeniosła się do Amsterdamu, gdzie zaczęła chodzić na lekcje baletu u Sonii Gaskell. W 1948 roku zamieszkała w Londynie i poszła do szkoły tańca Marie Rambert, nauczycielki Niżyńskiego. Gdy Audrey spytała ją, czy ma szansę zostać prawdziwą tancerką, Rambert odpowiedziała szczerze, że jeśli będzie dalej pracować, może rozpocząć wspinałą karierę, ale wzrost (169 cm, zbyt wiele jak na baletnicę) i złe

odżywianie z czasów wojny uniemożliwią jej karierę primabaleriny. Hepburn zaufała nauczycielce i zdecydowała się skoncentrować na aktorstwie.

RZYMSKIE WAKACJE

Audrey Hepburn na najbliższe lata stanie się wcieleniem nowego ideału współczesnej kobiety – powiedział legendarny fotograf „Vogue’a”, Cecil Beaton. I nie mylił się. Po małych rolach w europejskich produkcjach trafiła do broadwayowskiego musicalu „Gigi” na podstawie opowiadania Colette. Dość szybko dostrzegli ją amerykańscy krytycy. Wkrótce młoda aktorka zdobyła przychyłność Hollywood dzięki głównej roli w romantycznej komedii „Rzymskie wakacje” oraz w kolejnych, podobnych kreacjach „Zabawna buzia” i „Śniadanie u Tiffany’ego”. „Rzymskie wakacje” Williama Wylera z 1953 roku okazały się dla niej szczęśliwe. Za rolę odwiedzającej Europę księżniczki, która postanowiła spędzić kilka dni udając zwykłą dziewczynę, dostała Oscara. Wyler, wówczas jeden z najbardziej wziętych reżyserów w Hollywood, pokochał Hepburn od pierwszego wejrzenia. W czasie próbnych zdjęć do filmu polecił operatorowi, żeby nie wyłączał kamery. Okazało się, że aktorka jest tak samo spontaniczna i uroczą, jak na planie. Choć większość filmów z jej udziałem powielala ten sam schemat – naiwnej kobiety w przewidywalnej fabule – to Hepburn wprowadzała do nich wiele magii. Była w niej naturalna dziewczęcość, niepoprawny romantyzm, trochę naiwności. Ale i profesjonalizm, poparty żelazną konsekwencją (gdy po wojnie w kilka lat przytyła 20 kg, co wykluczało jej karierę w balecie, postanowiła zrzucić kilogramy i błyskawicznie zeszła z 68 do 50 kg; taką wagę trzymała już do końca życia). Nigdy też nie przychodziła na plan nieprzygotowana.

WIELKIE MIŁOŚCI

W Europie aktorka związała się z Jamesem Hansonem, jej – jak to określiła – miłością od pierwszego wejrzenia. Jednak mimo ustalonej już daty ślubu, Audrey zdecydowała się

MOJE ŻYCIE BYŁO CZYMŚ WIĘCEJ NIŻ BAJKĄ – MÓWIŁA AUDREY





DO DZIŚ STYL AUDREY HEPBURN KOPIOWANY JEST NA CAŁYM ŚWIECIE

zerwać zaręczyny. Uznała bowiem, że kariery jej i Jamesa za bardzo kolidowałyby z życiem rodzinnym.

Po „Rzymskich wakacjach” Audrey zagrała również w „Sabrinie” obok Wiliama Holdena, z którym związała się na długo. Planowali wziąć ślub, gdy jednak okazało się, że Holden nie może mieć dzieci, Hepburn zakończyła i tę znajomość. W tym czasie poznała Huberta de Givenchy, francuskiego projektanta mody i kolekcjonera sztuki, który zaprojektował jej garderobę do filmu. Ich współpraca miała od tego momentu trwać latami i zaowocować nowym, powszechnie rozpoznawalnym stylem. W pamięci widzów na zawsze zapisała się rolą marzycielki Holly Golightly w „Śniadaniu u Tiffany’ego”. I to do tego stopnia, że czarną suknię projektu Givenchy, w której wystąpiła, w 45 lat po premierze, w 2006 roku, sprzedano na aukcji za 920 tys. dolarów.

W 1953 roku aktorka spotkała Mela Ferrera na przyjęciu wydanym przez Gregory Pecka. Była nim oczarowana za sprawą filmu „Lili”. Niedługo potem Ferrer wysłał jej scenariusz przedstawienia „Ondyna”, a ona szybko przyjęła propozycję występu. Próby rozpoczęły się w styczniu 1954 roku, a już we wrześniu para została małżeństwem. Audrey twierdziła, że byli nierozłączni i bardzo ze sobą szczęśliwi, chociaż przyznawała, że Ferrer miał trudny charakter. Powszechnie posądzano go również, że steruje karierą żony. Małżeństwo z nim trwało 14 lat, do grudnia 1968 roku. W tym czasie aktorka dwukrotnie poroniła, m.in. po upadku z konia podczas kręcenia westernu „Bez przebaczenia” w reżyserii Johna Hustona. Ich jedyny syn, Sean, przyszedł na świat w 1960 roku.

Dwa lata później Hepburn pojawiła się na ekranie jako Holly Golightly w „Śniadaniu u Tiffany’ego”. Postać ta stała się jednym z symboli kina XX wieku, ze swoimi czarnymi sukien-

kami od Givenchy’ego i blond pasemkami. To właśnie dzięki niej Audrey zapewniła sobie miejsce obok największych legend kina. Do dziś styl Hepburn jest kopiowany na całym świecie – duże kapelusze, okulary-muchy, sukienka „mała czarna” to przecież modowa klasyka

ZWIĄZEK Z DOTTIM

W 1963 roku aktorka wystąpiła w „Szaradzie”, a rok później w broadwayowskim przeboju „My Fair Lady”. Krytycy byli zachwyceni, a postać Elizy stała się kolejną ikoną. W 1967 roku Hepburn zagrała w dwóch ważnych dramatach: „Dwoje na drodze” i „Doczekać zmroku”. Ten drugi, wyprodukowany przez Mela Ferrera, powstał w napiętej atmosferze ich nadchodzącego rozwodu. Nie przeszkodziło to Audrey w stworzeniu kolejnej wspaniałej kreacji, za którą została nominowana do Oscara.

W trakcie separacji z Ferrerem aktorka nawiązała romans z partnerem z planu „Dwoje na drodze”, Albertem Finneyem. Para rozstała się jednak na długo przed rozwodem Audrey. Mniej więcej w tym czasie wyruszyła w rejs, który miał ją uspokoić po osobistych zawirowaniach. Poznała wtedy włoskiego psychiatrę, Andrea Dottiego, w którym się zakochała. Poślubiła mężczyznę 18 stycznia 1969 roku. Hepburn tym razem była zdecydowanie bardziej ostrożna, będąc w ciąży z drugim dzieckiem, i większość czasu spędzała na malowaniu obrazów. W 1970 roku urodził się, przez cesarskie cięcie jej drugi syn Luca. Chociaż Audrey pragnęła mieć kolejne dzieci, jednak względy zdrowotne uniemożliwiły jej to. Po raz ostatni poroniła w 1974 roku. Małżeństwo z Dot-tim przetrwało trzynaście lat i zakończyło się rozwodem w 1982 roku. Jeszcze przed końcem tego związku Hepburn poznała Roberta Woldersa, z którym spędziła ostatnie lata swojego życia. Wolders, wdowiec po Merle Oberon, był holenderskim aktorem. Para nigdy się nie pobrała, a lata z nim spędzone aktorka nazwała najszcześniejszymi w jej życiu.

HOLLYWOODZKA GWIAZDA

Obdarzona wyjątkowym wdziękiem i urodą, Audrey występowała u boku takich sław, jak Gary Cooper, Humphrey Bogart, Henry Fonda, Fred Astaire, George Peppard, Albert Finney, Cary Grant, Rex Harrison, Peter O’Toole, Sean Connery. Jedną z najbardziej popularnych i najchętniej fotografowanych gwiazd, przyczyniła się do ustalenia kanonu uro-



AUDREY HEPBURN I GEORGE PEPPARD W „ŚNIADANIU U TIFFANY’EGO”

dy kobiecej, stojącego w opozycji do typu reprezentowanego przez Marilyn Monroe. Hepburn wywarła silny wpływ na kino lat 50. i 60. ubiegłego wieku. Mówiła płynnie po angielsku, hiszpańsku, francusku, włosku i flamandzku.

Jej kariera zaczęła się od „Rzymskich wakacji”, gdzie partnerował jej Gregory Peck. W 1954 roku przyjęła rolę „Sabriny” w komedii romantycznej o takim samym tytule, gdzie partnerowali jej William Holden i Humphrey Bogart, który nie przepadał ani za Audrey, ani za Williamem. Rola ta przyniosła Hepburn drugą nominację do nagrody Akademii Filmowej. Potem pojawiła się m.in. w „Zabawnej buzi” z Fredem Astaire’em, „Miłości po południu”, gdzie jej partnerem był Gary Cooper oraz w „Wojnie i pokoju”, w którym to filmie zagrała w towarzystwie Henry’ego Fondy i swojego ówczesnego męża Mela Ferrera. W 1959 widzieliśmy ją w jednej z najlepszych ról, siostry Luke w „Historii zakonnic”, która przyniosła jej trzecią nominację do Oscara i nagrodę nowojorskiej krytyki. Audrey przyjęła też rolę w filmie Blake’a Edwardsa „Śniadanie u Tiffany’ego”, co z kolei zaowocowało czwartą nominacją do statuetki. W 1964 roku na ekrany kin wszedł film „My Fair Lady”, który otrzymał 12 nominacji do Oscara, ale Audrey w typowaniach pominięto. Wywołało to falę krytyki pod adresem Akademii. W 1967 roku zagrała w filmie „Doczekać zmroku”, który przyniósł jej ostatnią, piątą nominację do Oscara. Potem pojawiła się obok Seana Connery’ego w „Powrocie Robin Hooda”. Krytyka znowu była nią zauroczona, a publiczność cieszyła się na jej wielki powrót. Jednak występ w późniejszej o trzy lata „Krwawej linii” nie wzbudził już żadnego entuzjazmu.

Po raz ostatni zagrała główną rolę w „Śmiechu warte” Bogdanovicha w 1981 roku. Film jednak przyćmiło zamieszanie wokół morderstwa Dorothy Stratten. Premiera odbyła się już po jej śmierci, lecz kopie obrazu trafiły do ograniczonej liczby kin. Sześć lat później wystąpiła w telewizyjnej produkcji „Love Among Thieves”, która stała się umiarkowanym sukcesem, a sama Audrey stwierdziła, że zagrała „tylko dla zabawy”.

Ostatnią rolą Hepburn był epizod w filmie „Na zawsze” Stevena Spielberga w 1988 roku. Również i ten obraz został chłodno przyjęty. W ostatnich miesiącach życia poprowadziła program dokumentalny „Ogrody świata” i nagrała audycję „Audrey Hepburn’s Enchanted Tales”, gdzie czytała klasyczne bajki dziecięce, co przyniosło jej pośmiertnie nagrodę Grammy dla najlepiej mówionego albumu dla dzieci.

DLA BIEDNYCH DZIECI

Po porzuceniu kariery aktorskiej Audrey poświęciła się pracy w roli ambasadora dobrej woli UNICEF-u. Świetnie pamiętając własne przeżycia z czasów II wojny światowej, niosła pomoc głodującym dzieciom w najbiedniejszych krajach świata. Za swoje poświęcenie otrzymała w 1992 roku z rąk prezydenta George’a Busha medal wolności (*Presidential Medal of Freedom*). – Urodziłam się z ogromną potrzebą czułości i straszliwą potrzebą jej dawania – odpowiedział na pytanie o to, dlaczego ponad 20 lat życia poświęciła na pomoc dzieciom z krajów Trzeciego Świata.



W ROLI HOLLY GOLIGHTLY W CZARNEJ SUKNI Z NASZYJNIKIEM Z PERŁĄ

Zmarła 20 stycznia 1993 roku na zbyt późno wykrytego raka wyrostka i została pochowana w Tolochenaz w Szwajcarii. Miała 63 lata. Rok po jej śmierci synowie Sean i Luc założyli Children’s Fund, fundację mającą na celu kontynuację pracy charytatywnej aktorki.

Mówiła o sobie: – Moje życie było czymś więcej niż bajką. Przeżyłam wiele trudnych chwil, ale niezależnie od trudności, które przeszłam, na końcu zawsze czekała na mnie nagroda. Nigdy nie myślałam o sobie jako o ikonie. Piękno kobiety nie przejawia się w ubraniach, które nosi, w jej figurze lub sposobie, w jaki układa włosy. Piękno kobiety musi być widoczne w oczach, ponieważ są one drzwiami do jej serca – miejsca gdzie mieszka miłość.

W 2003 roku obywatele Rzymu wyróżnili Audrey Hepburn w 50. rocznicę zdobycia przez nią Oscara za rolę w filmie „Rzymskie wakacje”, organizując w stolicy Włoch wystawę, na której można było zobaczyć 130 eksponatów związanych z filmową karierą aktorki. Zebrane pieniądze zostały przekazane na budowę szkoły, której sponsorem był UNICEF.

Choć w 1961 roku Audrey Hepburn była już gwiazdą, przez cały czas kręcenia ekranizacji powieści Trumana Capote’a „Śniadanie u Tiffany’ego” była przekonana, że w roli Holly Golightly obsadzono złą osobę. Zresztą, sam Capote początkowo chciał, żeby główną rolę zagrała Marilyn Monroe. Na szczęście oboje się mylili. Rola Holly sprawiła, że Hepburn przeszła do historii, a jej wizerunek w czarnej sukni ozdobionej naszyjnikiem z pereł na zawsze zapisał się w dziejach popkultury.

W 2004 roku otrzymała tytuł najpiękniejszej kobiety wszech czasów. Ranking na najpiękniejszą kobietę świata został przeprowadzony przez specjalistów od makijażu i charakteryzacji, fotografów i szefów agencji modelek. Aktorka została oceniona jako Numer 1 nie tylko pod względem wspaniałej zewnętrznej urody, ale i wewnętrznej. Uzyskała 76% wszystkich głosów.

GRAŻYNA KUROWSKA

Przy pisaniu tekstu korzystałam ze stron Filmweb.pl, Onet.pl, Audreyhepburn.com oraz „Encyklopedii gwiazd filmu” Thomasa G. Ayleswortha i Johna S. Bowmana



BENEFIS FRANCISZKA PIECZKI Z OKAZJI 85 URODZIN I 60 LAT PRACY ARTYSTYCZNEJ

GRATULACJE DLA WSPANIAŁEGO ŚLĄZAKA OD ZESPOŁU PIEŚNI I TAŃCA ŚLĄSK

OD CZOŁGU DO ŁAWECZKI

JEGO OJCIEC PRACOWAŁ NA KOPALNI. I ON, ZGODNIE Z RODZINNĄ TRADYCJĄ, MIAŁ PRACOWAĆ POD ZIEMIĄ. RODZICE WYSŁALI GO NA POLITECHNIKĘ W GLIWICACH, Z KTÓREJ UCIEKŁ NA EGZAMINY DO SZKOŁY TEATRALNEJ W WARSZAWIE. I TAK ZACZĘŁ SIĘ KARIERA AKTORSKA FRANCISZKA PIECZKI, OBCHODZĄCEGO WŁAŚNIE 60-LECIE PRACY ARTYSTYCZNEJ. – TERAZ TO JA JUŻ NICZEGO NIE MUSZĘ, ALE JESZCZE WSZYSTKO MOGĘ – POWIEDZIAŁ JUBILAT.

Do hotelu Boss w warszawskim Miedzeszynie przybyli pod koniec kwietnia na benefis Franciszka Pieczki nie tylko jego przyjaciele z planu filmowego czy teatrów, ale także najbliższa rodzina i wielbicielowie niezwykłego talentu. Benefis przygotowany został z okazji 85 urodzin artysty (obchodził je 18 stycznia) i 60-lecia debiutu teatralnego. Pieczka, choć z urodzenia Ślązak, od wielu lat mieszka w warszawskiej Falenicy. Śląsk ma jednak w sercu i nigdy

się go nie wyparł. Mimo zanego wieku nie myśli o emeryturze, nadal gra w Teatrze Powszechnym i popularnym serialu.

– Urok połączony z pokorą i pracowitością tworzą wizerunek tego artysty – podkreśla Dariusz Domański, organizator i pomysłodawca benefisu, a zarazem autor wydanej właśnie książki o Franciszku Pieczce. Książka jest bogato ilustrowana, autor zważył w niej nie tylko wspomnienia bohatera z rodzinnej wsi Godów koło Wodzisławia i szkoły Zelwera (studiował między innymi z Jerzym Dobrowolskim, Mieczysławem Czechowiczem, Zdzisławem Leśniakiem i Wiesławem Gołasem), z teatrów i ról filmowych, ale także wypowiedzi wielu znakomych partnerów teatralnych i filmowych Pieczki, kojarzonego głównie z rolą Gustlika Jelenia w serialu „Cztery pancerni i pies” i Stacha Japycza w serialu „Ranczo”. Mało kto wie, że Pieczka w swojej karierze najwięcej

zagrał rolę proboszczów, księży, świętych i dwukrotnie Pana Boga. Ale bywał również karczmarzem, węglarzem, dziadem wędrownym, a nawet... mordercą. Wawrzyny zapewniły mu kreacje u Andrzeja Wajdy, Krzysztofa Kieślowskiego i Jana Jakuba Koloskiego. Beata Tyszkiewicz, urzeczona urokiem pana Franciszka, napisała, że „z jego ręki i truciznę można by wypić bez skrzywienia”. Gdy w serialu „Cztery pancerni i pies” Pieczka spotkał się z młodziutkim Januszem Gajosem, był już artystą o ugruntowanej pozycji. W książce Gajos dziękuje mu za wspólną pracę i przyjaźń. „Los sprawił, że przez 17 lat dzieliliśmy jedną garderobę w Teatrze Powszechnym w Warszawie. Chcę Ci się, drogi Franku, pokłonić. Podziękować za szczery uśmiech, silny, męski uścisk dłoni i za wspaniałą naturalność” – napisał serialowy Janek.

W organizacji benefisu Dariusza Domańskiego wsparli gmina Godów,



NA BENEFIS PRZYBYŁA RODZINA AKTORA



SPOTKANIE HONORATKI I GUSTLIKA

której honorowym obywatelem jest aktor, i Towarzystwo Przyjaciół Śląska w Warszawie (z nieocenionym prezesem Józefem Musiołem). Pieczka stale podkreślał przywiązanie do śląskiej tradycji. Godów to piękne miejsce, do którego chętnie wraca wspomnieniami. Artyście dziękowali wójt Mariusz Adamczyk i przewodniczący rady gminy Antoni Tomas. Były też piękne i wzruszające życzenia od kolegów i koleżanek: Barbary Krafftówny (serialowej Honoratki sprzed lat), Anny Milewskiej, Marty Lipińskiej, Witolda Pyrkosza, Witolda Sadowego, prezesa ZASP Olgierda Łukaszeuicza, Włodzimierza Pressa, Wiesława Gołasa, Cezarego Żaka, Roberta Glińskiego, Kazimierza Kaczora, zespołu Śląsk, Bogdana Kalusa, Piotra Pręgowskiego, Wojciecha Adamczyka, Mariana Dziędziela, Zbigniewa Wodeckiego i wielu innych.

Wielką atrakcją były dary dla jubilata: tort w kształcie czołgu Rudy 102 z warszawskiej cukierni Camargo, butelka z czymś mocnym w kształcie pistoletu maszynowego z Tłoczni Maurera w Łącku, pięknie wyrzeźbiona ławeczka z drewna od godowian (wykonał ją lokalny artysta rzeźbiarz Krzysztof Popek) i z chleba, z piekarni Złoty Kłos w Dobczycach i od Dariusza Domańskiego. Dla znakomitego aktora śpiewali ponadto Zbigniew Wodecki, zespół Śląsk, Julian Mere i Elżbieta Romanowska.

BUS
ZDJĘCIA ROMAN ANUSIEWICZ



PRÓBA ŁAWECZKI, JAK W SERIALU „RANCZO”. OD PRAWY JUBILAT, SYLWESTER MACIEJEWSKI, BOGDAN KALUS, PIOTR PRĘGOWSKI I REŻYSER WOJCIECH ADAMCZYK



DLA MISTRZA ZAŚPIEWAE ZBIGNIEW WODECKI



NA EKRANIE SERIALOWY GUSTLIK, KTÓRY BEZ TRUDU ZGINAŁ W PALCACH GRUBE GWOŹDZIE



W PREZENCIE BYŁ TAKŻE SZKLANY KAŁASZNIKOW Z MOCNYM PŁYNEM Z TŁOCZNI MAURERA



W ZAMIESZANIU ZWIĄZANYM Z BENEFISEM FRANCISZEK PIECZKA
ZNAŁAZŁ CZAS NA LEKTURĘ MAGAZYNU LADY'S CLUB



AKTOR I ORGANIZATOR BENEFISU, DARIUSZ DOMAŃSKI,
Z PAMIĄTKOWĄ ŁAWECZKĄ Z CHLEBA



A W PEWNYM MOMENCIE DO SALI WJECHAŁ
CZOŁG RUDY 102, Z CIASTA, KREMU I LUKRU



ANNA MILEWSKA, AKTORKA I POETKA,
ZE SWOJĄ NAJNOWSZĄ KSIĄŻKĄ



WIESŁAW GOŁAS, WŁODZIMIERZ PRESS I WITOLD PYRKOSZ PODZIWIJĄ PRACĘ CUKIERNIKÓW



Z WŁODZIMIERZEM PRESSEM, GRIGORIEM
W SERIALU „CZTEREJ PANCERNI I PIES”



CEZARY ŻAK CHĘTNIE ROZDAWAŁ AUTOGRAFY,
TAKŻE GÓRALOM Z ŁĄCKA



MARIAN DZIĘDZIEL, KAZIMIERZ KACZOR I ZACNY JUBILAT

WTORKOWE SALONY STYLOWE ZAPRASZAJĄ NA WYJĄTKOWE SPOTKANIE W HOTELU SILESIAŃ W KATOWICACH

PO SZEŚCIU SPOTKANIACH II SEZONU NADSZEDŁ CZAS NA PODSUMOWANIE NIEZWYKŁYCH
WTORKOWYCH WIECZORÓW DLA PAŃ ORAZ ŚWIĘTOWANIE 2. URODZIN AKCJI

Wydałoby się, że tematy naprawdę interesujące kobiety mogą się szybko wyczerpać i już po kilku spotkaniach frekwencja Wtorkowych Salonów Stylowych będzie spadać, ale stało się zupełnie inaczej. Już na początku II sezonu widać było, że organizatorzy podnoszą poprzeczkę i zaskakują coraz to nowszymi atrakcjami. Dzięki czemu każde kolejne spotkanie było lepsze od poprzedniego. Poza stałymi punktami programu, takimi, jak prezentacje ekspertów, możliwość bezpłatnych konsultacji i testowania produktów, mieliśmy okazję posłuchać występu na żywo Gabrieli de Silva i Krzysztofa Stera, poznać kreatywne możliwości wykorzystania „starych” ubrań oraz uczestniczyć w warsztatach. – A to jeszcze nie koniec naszych pomysłów – zdradza Natalia Walus, organizatorka. Wkrótce Panie będą się mogły o tym przekonać osobiście, bowiem 4 czerwca odbędzie się Wielki Finał, na który już dziś zapraszamy wszystkie nasze czytelniczki.

Tego wydarzenia żadna stylowa kobieta nie może przegapić. Dlaczego? Podpytaliśmy o to główną organizatorkę.

Co takiego odróżnia Wielki Finał, od tradycyjnych spotkań Wtorkowych Salonów Stylowych?

Natalia Walus: Z pewnością rozmach i uroczysty charakter spotkania. Nieczęsto mamy okazję w jednym miejscu i czasie zobaczyć pokaz mody, prezentujący trzy zupełnie inne odsłony świata mody, sprawdzić, jaka bielizna sprawia, że prezentowane kreacje tak dobrze wyglądają na modelkach, posłuchać na żywo gwiazdy piosenki operowej Gabrieli de Silva, a po wszystkim spotkać się osobiście z twórcami kreacji, wizażystkami, fryzjerami... i zapytać ich o tajniki zawodu. *Będzie to zatem zupełnie inny wieczór, czy też znajdziemy tam także stałe elementy spotkań WSS?*

NW: Wieczór 4 czerwca będzie z pewnością wyjątkowy, ale jest to podsumowanie

Wtorkowych Salonów Stylowych, zatem nie zabraknie także ekspertów, możliwości testowania nowych urządzeń i kosmetyków, poczęstunku oraz konkursów z nagrodami. *Na koniec nie pozostaje mi nic innego, jak zapytać o to, w jaki sposób i do kiedy można się zapisać na to wydarzenie?*

NW: Zapisy jak zwykle przyjmujemy pod adresem mailowym **WSS@EVENT-MANAGER.PL**, gdzie należy przysłać Imiona i Nazwiska Pań zainteresowanych udziałem. Zgłoszenia przyjmujemy do wyczerpania miejsc, dlatego radzę nie zwlekać. Wszelkie szczegóły znajdują się na naszej stronie **www.wtorkowesalonystylowe.pl** W imieniu całego zespołu zapraszam wszystkie czytelniczki *Lady's Club*.

**4 CZERWCA, HOTEL SILESIAŃ
KATOWICE, UL. SZYBOWCOWA 1A**

Wielki finał: Moda w trzech odsłonach

Start: godz. 18.00

Wstęp: 15 zł

Szczegóły: www.wtorkowesalonystylowe.pl



Pieknych wakacji!

Zaplanuj je z nami – pakiety **ALL INCLUSIVE** czekają!

DERMED
Centrum Kosmetyczno - Dermatologiczne

KATOWICE, Al. W. Korfantego 70/7
tel. 32/ 201 02 65
www.dermmed.pl |

**NATALIA WALUS
KONSULTANTKA ŚLUBNA**
WWW.STUDIOKOLIBER.COM.PL

Planujesz wesele?
zadzwoń i umów się na spotkanie...

- to nic nie kosztuje,
a może znaczyć tak wiele...

TEL.: 663-32-98-99
BIURO@EVENT-MANAGER.PL
WWW.STUDIOKOLIBER.COM.PL

Rodzicielstwo bliskości

KATARZYNA ZIEMER



RODZICIELSTWO BLISKOŚCI (PO ANGIELSKU *ATTACHMENT PARENTING*) JEST TERMINEM UTWORZONYM PRZEZ AMERYKAŃSKIEGO PEDIATRĘ WILLIAMA SEARSA. JEDNĄ Z PREKURSORÓW PROPAGOWANIA TEJ IDEI BYŁA JEAN LIEDLOFF, AUTORKA KSIĄŻKI „W GŁĘBI KONTINUUM”. ICH PODEJŚCIE DO RODZICIELSTWA NIE JEST JEDNAK NICZYM NOWYM. ISTNIEJE ONO, ODKĄD GATUNEK LUDZKI ZACZĄŁ RODZIĆ DZIECI. LIEDLOFF CZY SEARS POPRZEC SWOJE KSIĄŻKI UMOŻLIWILI NAM TYLKO KONTAKT Z WIEDZĄ, KTÓRA JEST W NAS „OD ZAWSZE”. JEJ PODSTAWOWYM ZAŁOŻENIEM JEST TO, ŻE KAŻDY Z NAS WIE, JAK ZAJMOWAĆ SIĘ DZIECKIEM. TA WIEDZA JEST PRZEKAZYWANA GENETYCZNIE I BIOLOGICZNIE Z POKOLENIA NA POKOLENIE.

Jean Liedloff przebywała wiele miesięcy wśród Indian z plemienia Yequana. Obserwowała, jak funkcjonują na co dzień. W jej książce można znaleźć wiele przykładów potwierdzających ich spokój, pogodne usposobienie, umiejętność czerpania radości z codziennych wydarzeń. Ów stan ducha Indian z tego plemienia wynikał z filozofii podejścia do dzieci. Rodzicielstwo bliskości jest zatem, jak się okazuje, jednym z najstarszych sposobów opieki nad dzieckiem. Jest

drogą do zbudowania z dzieckiem więzi opartej na zaufaniu i bezpieczeństwie, które są podstawowymi potrzebami dziecka. Jest ono również korzystne dla rodziców, budujących relacje z dzieckiem w oparciu o mądrości zapisane w genach, a nie w książkach. Intuicyjnie reagują na sygnały wysyłane przez dziecko, co okazuje się dobre dla obydwu stron. Rodzice nabierają zaufania do swoich możliwości, czują się silni i lepiej rozumieją budujące się więzi z dzieckiem.



PRZYWIĄZANIE

Teoria rodzicielstwa bliskości nawiązuje również do psychologicznej teorii przywiązania. To, jakie relacje dziecko zbuduje z rodzicami, odbije się później na jego relacjach z ludźmi. Twórcą teorii jest brytyjski lekarz i psychoanalityk John Bowlby. Jego koncepcja wyjaśnia i opisuje kształtowanie się bliskich więzi emocjonalnych w początkach życia. Rodzic dziecka w prawidłowej relacji powinien stać się „bezpieczną bazą” umożliwiającą eksplorację i usamodzielnianie. Niestety, nie zawsze tak jest. Bowlby wyróżnił dwa główne rodzaje stylów przywiązania: bezpieczny i pozabezpieczny (lękowy, ambiwalentny, zdeorganizowany).

Bezpieczny wzorec przywiązania pozwala na eksplorację otoczenia i swobodne zwracanie się do opiekuna po wsparcie. Dziecko jest przekonane o własnej wartości i pozytywnie postrzega innych ludzi. Jest zdolne regulować swoje emocje i skutecznie je wyrażać.

Lękowy (unikający) styl przywiązania przejawia się w pozornej niezależności od rodzica. Dziecko mimo nieobecności rodzica dalej się bawi, wydaje się nie zauważać jego nieobecności. Jest jednak napięte. Rzadko też zwraca się do rodzica o pomoc w zaspokojeniu potrzeb, mimo że tego potrzebuje. Stwarza to pozory niezależności, a tak naprawdę jego reakcje są hamowane przez lęk. Ma raczej niskie poczucie własnej wartości. Hamuje uczucia złości i stresu, ma trudności w rozpoznawaniu własnych emocji, rzadko pozwala sobie na ich ekspresję.

Ambiwalentny styl przywiązania przejawia się niepewnością w kontaktach. Dziecko nie eksploruje swobodnie otoczenia, ponieważ jest skupione na rodzicu. Jest niepewne własnej wartości, ma przekonanie o nieprzewidywalności świata zewnętrznego. Działa chaotycznie, ma problemy w wytyczaniu granic, zmienne nastroje, tendencję do manipulowania otoczeniem. Nie bierze odpowiedzialności za regulowanie swoich stanów emocjonalnych.

Rodzicielstwo bliskości sprzyja więc budowaniu bezpiecznego stylu przywiązania z dzieckiem.

SIEDEM NARZĘDZI BLISKOŚCI

1. WIĘŹ UCZUCIOWA PODCZAS NARODZIN

Dziecko zaraz po narodzinach odczuwa biologiczną i naturalną potrzebę bliskości. Matka intuicyjnie pragnie się nim opiekować. Jest to wynik działania m.in. oksytocyny, która zaraz po porodzie osiąga bardzo wysoki poziom, co kieruje matkę w stronę fizycznego kontaktu z dzieckiem. W tych pierwszych momentach po porodzie dochodzi do zbudowania silnej więzi dziecka z matką. Oksytocyna wpływa na zwiększenie poziomu wrażliwości, troskliwości, umiejętność rozpoznawania potrzeb i sygnałów niewerbalnych. Po porodzie organizm również produkuje oksytocynę, dzięki karmieniu i opiece nad noworodkiem.

Badanie wykazały również, że wysoki poziom oksytocyny przy porodzie wpływa również na wzmocnienie więzi z ojcem dziecka. Stąd tak ważna jest stała obecność partnera.

Bliskość fizyczna również zwiększa poziom oksytocyny u dziecka, co zmniejsza poziom stresu. U dziecka, które nie ma zapewnionej bliskiej opieki rodzica (lub co najmniej jednej ważnej i stałej dla niego osoby) wzrasta poziom stresu, kortyzolu. Kortyzol często obecny w ciele dziecka może wpłynąć hamująco na jego rozwój, m.in. na trudności w radzeniu sobie ze stresem w życiu dorosłym. Badania wykazały, że poziom oksytocyny wzrasta też u ojców mieszkających z ciężarną partnerką, obecnych przy porodzie czy potem opiekujących się dzieckiem. W większych ilościach jest wydzielana wtedy wazopresyna, pobudzająca reorganizację mózgu, sprzyjająca zachowaniom rodzicielskim. Partner staje się bardziej oddany kobiecie i chroni ją, stąd nazywana jest także hormonem monogamii.

2. KARMIENIE PIERSIĄ

Jest treningiem w odczytywaniu sygnałów wysyłanych przez dziecko. Potrzeba jest tutaj uważnej obserwacji dziecka, co prowadzi do lepszego poznania go. Mleko matki wpływa dobrze na układ odpornościowy dziecka. Karmienie piersią ulepsza porozumienie między matką i dzieckiem poprzez stymulację jej ciała do produkcji prolaktyny i oksytocyny, hormonów zapewniających przepływ matczynych uczuć

3. NOSZENIE DZIECKA

Dzieci lubią być aktywne. Są ciekawe świata. Zaspokajanie tych potrzeb jest możliwe dzięki przebywaniu w ramionach przemieszczającego się opiekuna. Noszone dzieci są spokojniejsze, rzadziej denerwują się i płaczą, dzięki czemu łatwiej przyswajają informacje ze świata zewnętrznego. Zaspokoiwszy swoje potrzeby bliskości i aktywności, dziecko może swoją uwagę przenieść na zewnątrz. Rodzic również ma okazję, by lepiej poznać swoje małeństwo. Zauważa, co je interesuje, na co zwraca uwagę.

4. SPANIE BLISKO DZIECKA

Spanie z dzieckiem jest dodatkowym czasem, kiedy rodzic może być fizycznie blisko dziecka. Większość małeństw obawia się nocy, stąd spanie z rodzicem zapewnia mu poczucie bezpieczeństwa. Dziecko czuje dotyk i może posać pierś mamy, kiedy tylko chce. W mózgu dzieci, które zaznają otuchy i uspokajającego dotyku w porze spania, wydzielają się oksytocyna i opiody, które pomagają im zasnąć.

5. WIARA, ŻE PŁACZ DZIECKA JEST SPOSOBEM KOMUNIKACJI

Płacz dziecka jest jednym z wielu biologicznym sygnałów, które mają mu pomóc w przetrwaniu. A dla rodziców jest sygnałem o jakiejś potrzebie dziecka. Im trafniej rodzic odczyta sygnały wysyłane przez dziecko, tym małeństwo nabierze większego zaufania. Wierzy, że jego potrzeby są trafnie odczytywane. Rodzice widzą z kolei, że są w stanie sprostać wymaganiom dziecka. U niemowlaka płacz nie służy manipulacji. Jest to jego naturalna reakcja na niezaspokojoną potrzebę bądź sygnał niewygody. Mózg dziecka nie jest wystarczająco rozwinięty, by poradzić sobie samodzielnie z ogarniającymi uczuciami i doznaniem cielesnymi. Dzieci nie płaczą w ramach ćwiczenia płuc, kontrolowania rodziców czy dla kaprysu. Płaczą, by otrzymać pomoc.



6. REAGOWANIE NA POTRZEBY DZIECKA

Ten punkt dotyczy również tzw. dobrych rad udzielanych przez otoczenie. Jedną z nich: „niech się wypłacz”. W ocenie osoby, która nam taką radę podsuwa jest ona dobra i sprawdzona. Jednak nie oznacza, że tak jest w każdym przypadku. Ludzkie dzieci rodzą się bezradne. Nie przeżyłyby samodzielnie. Dlatego zostały wyposażone w narzędzia, które otoczeniu podpowiadają, jak zapewnić im opiekę. Instynkty rodziców podpowiadają właściwą w danym momencie reakcję.

Jeśli rodzice nie będą ignorowali tych podpowiedzi, wychowanie dzieci poprzez utrzymywanie bliskości fizycznej i psychicznej stanie się naturalnym procesem. Coraz łatwiej rodzic będzie odczytywać sygnały wysyłane przez dziecko.

7. RÓWNOWAGA

Rodzina to współpracujący ze sobą zespół, w którym potrzeby każdego z członków są ważne i respektowane. Dziecko im mniejsze, tym bardziej zależne jest w zaspokajaniu swoich potrzeb od rodziców. Nie oznacza to jednak rezygnowania z potrzeb, które mają kobieta i mężczyzna. Ten punkt dotyczy również równowagi w dawaniu i braniu w relacjach rodzinnych, także w zakresie zaspokajania potrzeb. Celem rodzicielstwa bliskości nie jest całkowite uzależnienie od siebie dziecka i postawa nadopiekuńcza. Bliskość w tej koncepcji jest rozumiana jako umiejętność bardzo uważnego obserwowania potrzeb dziecka. W rozwoju malucha naturalnie

pojawiają się procesy separacyjne, kiedy dziecko zaznacza swoje granice. Rodzic wychowujący je, zgodnie z podejściem rodzicielstwa bliskości, przyjmie ten fakt naturalnie i z radością.

Relacje rodzica z dzieckiem dynamicznie zmieniają się w czasie. Tylko w drodze uważnej obserwacji można te zmiany, czasem delikatne, zauważyć i za nimi podążać. W prawidłowej relacji matka odbiera sygnały dziecka świadczące o gotowości do samodzielności i wspiera ten proces. W relacji zaburzonej matka wysyła sygnały mówiące o potrzebie bliskości, a dziecko podąża za nią i szuka bliskości, choć nadszedł czas na separację. Matka i dziecko od samego początku mają przed sobą niezmiennie ważne zadanie – nauczyć się funkcjonować niezależnie od siebie.

Rodzicielstwo bliskości nie jest zbiorem restrykcyjnych zasad i reguł. Nie ma jednego i właściwego stylu wychowania dziecka. Celem jest nawiązanie bliskości z dzieckiem. Narzędzia, które wykorzystają rodzice, należą już do ich decyzji. Każdy musi wypracować swój własny styl, ponieważ nie ma dwojga takich samych dzieci. Budowanie relacji rodziców z dzieckiem jest indywidualną sprawą. Oni też sami będą wiedzieć, co jest dla dziecka najlepsze, jeśli posłuchają swoich reakcji instynktownych.

Słuchaj więc dziecka, kiedy jest małe, a ono będzie słuchało ciebie, kiedy podrośnie.



FOT. ELŻBIETA DĄBROWSKA

KATARZYNA ZIEMER

Psycholog i trener umiejętności psychospołecznych. Pracuje z bezrobotnymi i niepełnosprawnymi. Zajmuje się również psychologią rozwojową, prowadzi wykłady dotyczące procesów zachodzących w rodzinie, warsztaty rozwojowe dla dzieci oraz treningi komunikacji dla rodziców. Naukowo interesuje ją wpływ relacji z przyrodą na rozwój dziecka. Jest wolontariuszką Dress for Success Poland, organizacji wspierającej bezrobotne kobiety.

ZNALEŹLIŚMY SWOJĄ FURTKE

ZE **STANISŁAWEM
KARPIELEM-BUŁECKĄ**,
LIDEREM ZESPOŁU FUTURE FOLK,
ROZMAWIA ROMAN ANUSIEWICZ

Kiedy powstał zespół i z czyjej inicjatywy?

Z mojej, w sierpniu 2010 roku. Spotkałem się wtedy z Mattem Kowalskim, a poznał nas Marcin Adamkiewicz, który jest dzisiaj naszym managerem. Poprosiłem Marcina, żeby znalazł mi dobrego DJ-a. I znalazł. Matt jest dobry, w jego dorobku znajduje się wiele autorskich albumów, składanek i płyt winylowych. Nawiązaliśmy kontakt i tak powstał zespół Future Folk, tworzący właśnie taką muzykę, jaką znacie. A może nie znacie, lecz poznacie.

Zatem Future Folk to...

...Matt Kowalsky elektronika, Szymon Chyc-Magdzin skrzypce i śpiew, no i ja, wokalistę.

Co chcieliście osiągnąć, kiedy tworzyliście grupę?

Zamiar był taki, żeby trafić do młodzieży poprzez pomieszczenie muzyki folkowej z klubową. Wydaje mi się, a nawet jestem pewny, że to się udało. Trafiliśmy



w pewną lukę na polskim rynku. Muzyki klubowej pomieszczonej z góralszczyzną wcześniej nie było. Myślę, że dobrze nam to wyszło. Ludziom się podoba, a to znaczy, że jest dobrze. Jak mówi mój ojciec: „Jak się ruszają, to znaczy że jest dobrze”. Gorzej by było, gdyby się nie ruszali.

Potwierdziłeś przy okazji, że też masz artystyczną duszę, jak wszyscy w rodzinie.

Wiedziałem od dawna, że chcę mieć zespół. A że wyszło dobrze, to się teraz cieszę. Muzyka płynie w naszej krwi, wyssaliśmy ją z mlekiem matki. Zawsze była w naszym





FUTURE FOLK

STANISŁAW KARPIEL-BULECKA – VOC.

Pochodzi z Zakopanego. Syn wybitnego muzyka i architekta Jana Karpiela-Buleckiego. Od 1997 zajmuje się najbardziej spektakularną odmianą narciarstwa – freestylem. Jest jednym z najbardziej utytułowanych i rozpoznawalnych zawodników w Polsce, od lat wywiera ogromny wpływ na rodzimą scenę freestyle. Jego drugą wielką pasją jest śpiewanie.

MATT KOWALSKY – ELEKTRONIKA

DJ, DJ, producent muzyczny, kompozytor, remixer i reżyser dźwięku, absolwent Wydziału Jazzu i Muzyki Rozrywkowej Akademii Muzycznej w Katowicach. Wielokrotnie nagradzany w Polsce i na świecie. W jego dorobku znajduje się wiele autorskich albumów, składanek i płyt winylowych. Ostatni, w pełni autorski krążek artysty „Code”, wydany w 2009 w Polsce, był nominowany do Independent Music Awards USA 2010 w kategorii dance/elektronika oraz do nagrody Fryderyki 2010 w kategorii album roku/muzyka klubowa.

SZYMON CHYC-MAGDZIN – SKRZYPCE, VOC.

Pochodzi z góralskiej rodziny z Zakopanego. Od dziecka zakochany w muzyce i kulturze Podhala. Inspiracje czerpie z muzyki folkowej całych Karpat. Oprócz muzyki interesuje się sztuką i architekturą. Na co dzień spełnia się jako architekt wnętrz. Prowadzi swoje biuro w Zakopanem. O sobie mówi: „Muzyka jest moim powietrzem i sposobem na życie, a także inspiracją w projektach, które realizuję”.

domu. Tata jest artystą muzykiem, śpiewa i gra do tej pory. Dziś najczęściej się mówi o Sebastianie. Porównują nas ze sobą i często myślą. Gadają, że mamy te same nazwiska, że jesteśmy rodziną, ale to nie jest mój brat, tylko brat mojego ojca. Faktem jest, że różnica wieku między Sebastianem a mną jest dużo mniejsza, bo wynosi 7 lat, niż między Sebastianem a moim ojcem, bo to 20 lat różnicy. Dlatego wszyscy myślą, że to mój brat.

Czym jest dla ciebie muzyka?

Wszystkim. Uwielbiam śpiewać, uwielbiam kontakt z publicznością. Bez muzyki nie wyobrażam sobie życia. Kiedyś na pierwszym miejscu był sport, a teraz jest muzyka. Nie widzę życia poza nią i będę grać, jak to mówią, do grobowej deski.

Co było najtrudniejsze, kiedy zaczynaliście?

Stworzenie czegoś, czego jeszcze nie było, oryginalnego brzmienia. Skupiliśmy się na tym, żeby nie robić coverów góralskich, bo przeróżne zespoły zrobiły to już w przeróżnych aranżacjach. Motywy góralskie jedynie podkreślają, skąd jesteśmy. Nasza gwara jest oryginalna i to wystarczy. A reszta to kompozycje zespołowe, od aranżacji muzycznej po słowa. To ważne, żeby tworzyć swoje, bo nie jest sztuką zrobić cover, przerabiając tylko linię melodyczną.

W jakim jesteście miejscu po dwóch latach?

Rozwijamy się, idziemy do przodu. Nadal wierzę, że zespół może odnosić jeszcze większe sukcesy nie tylko na polskiej scenie muzycznej, ale i poza granicami kraju. Zmierzamy w tę stronę. Chcemy pokazywać naszą kulturę góralską poprzez granie klubowe, młodzieżowe, nowoczesne. W góralskiej muzyce jest siła. Może nie powinienem tego mówić, żeby nie wyglądało, że się chwale, ale mam się czym chwalić. Góralska muzyka w naszym wydaniu robi fajne wrażenie i dążymy do tego, żeby jak najczęściej się pokazywać. Ta muzyka, choć młodzieżowa, podoba się też starszym ludziom. To o czymś świadczy, to nam dodaje sił. Jest wiele zespołów, ale znaleźliśmy swoją furtkę, żeby przez nią przejść i pokazać się szerokiej publiczności.

Mieliście momenty kryzysowe?

Myślmy cały czas do przodu. Są oczywiście wloty i upadki, ale my, górale, jesteśmy twardzi i i damy sobie radę.

Co chcecie osiągnąć w tym roku?

To będzie nasz rok, musimy zrobić jak najwięcej. Dłgie trasy, mnóstwo festiwali, żeby pokazać się szerokiej publiczności. W tym priorytetowe imprezy: Top Trendy Festival i Opole. Musimy też być w mediach, wszędzie: w telewizji, radiu, internecie, w gazetach. Będą nowe teksty, nowa muzyka, nowe kawałki, bo to jest ważne. Pracujemy też nad nową płytą, żeby uszczęśliwić fanów.



Chcemy ją wydać w październiku. Przy tekstach gwarowych pomaga nam w dużym stopniu pani Wanda Czubernat.

Jak długo pracowaliście nad krążkiem „Zbacowanie”?

To była chyba najszybciej nagrana płyta na świecie. Pracowaliśmy nad nią pół roku. Fakt, że wcześniej mieliśmy teksty. Weszliśmy do studia i zrobiliśmy 11 kawałków. Skończyliśmy w maju, a w czerwcu płyta została wydana. Jest do dzisiaj w dobrych sklepach muzycznych i sprzedaje się nieźle. Zobaczmy, jak będzie z następną. Trzymajcie za nas kciuki!



Co robicie poza muzyką?

Sport nadal mocno siedzi w moim sercu. Narciarstwo freestyleowe to jest to! Dopóki będę mógł, będę je uprawiał. Z nieco większą ostrożnością, żeby nie wyjść z gipsem na scenę. Szymek jest po szkole artystycznej, skończył projektowanie wnętrz. Tak więc zawodowo, w czasie wolnym, projektuje ludziom mieszkania, domy. To jego główna pasja poza muzyką. A Matt? Jego pasją jest to, co robił do tej pory, czyli muzyka. Kiedy tylko może, „dłubie” swoje dźwięki.

Dziękuję za rozmowę.

REKLAMA

MEBLE

KUCHNIE

WNĘTRZA

**NOWY
ROZDZIEN**



Katowice, **Al. Roździeńskiego 199**

www.nowyrozdzien.pl

W IMIĘ JAKUBA S.

ZA NAMI TEGOROCZNE KATOWICKIE INTERPRETACJE. DO ZMAGAŃ KONKURSOWYCH PRZYSTĄPIŁO SZEŚĆ SZTUK WYBRANYCH PRZEZ DYREKTORA ARTYSTYCZNEGO JACKA SIERADZKIEGO: „ZBRODNIA” EWELINY MARCINIAK, „CIAŁA OBCE” KUBY KOWALSKIEGO, „MEWA” GABRIELA GIETZKY’EGO, „W MROCNYM MROCNYM DOMU” GRAŻYNY KANI, „W IMIĘ JAKUBA S.” MONIKI STRZĘPKI I „RYSZARD III” GRZEGORZA WIŚNIEWSKIEGO.

INTERPRETACJE
Festiwal Sztuki Reżyserskiej
Ogólnopolski KATOWICE
Teatr albo nigdy!

Interpretacje organizowane są w Katowicach od 1998 roku. Z nagrodami wyjechali z nich tacy twórcy, jak Anna Augustynowicz, Maja Kleczewska, Grzegorz Jarzyna, Krzysztof Warlikowski czy Jan Klata. – Gdyby udało się utrzymać ten festiwal na stałe... – pisał w 1998 roku Kazimierz Kutz, dyrektor artystyczny pierwszej edycji. Nie przypuszczał, że jego życzenie się spełni i po raz piętnasty spotkaliśmy się na teatralnym święcie. Festiwal to także spektakle mistrzowskie, otwierające i zamykające imprezę, tworzone przez reżyserów o znaczącym dorobku artystycznym. Ich prezentacja daje publiczności możliwość porównania przedstawień tworzonych przez różne pokolenia reżyserów. W tym roku obejrzelśmy przywiezioną przez Teatr Narodowy w Warszawie „Udrękę życia” Hanocha Lewina w reż. Jana Englerta (z Anną Seniuk i Januszem Gajosem) i „Korzeniec”, jeden z najgłośniejszych spektakli roku Teatru Zagłębia w Sosnowcu. Widzowie zobaczyli też trzy spektakle towarzyszące: „Jakobiego i Leidentala” Joanny Zdrady, „Między nami dobrze jest” Piotra Ratajczaka i „Nieskończoną historię” Uli Kijak.

Festiwalowe zmagania oceniały dwie grupy jurorów: konkursowych i społecznych. W skład pierwszej weszli Remigiusz Brzyk – reżyser, twórca spektaklu „Korzeniec”; Mikołaj Grabowski – dyrektor Narodowego Starego Teatru w Krakowie w latach 2002-2012; Mirek Kaczmarek – scenograf, artysta

multimedialny i grafik; Dorota Masłowska – autorka powieści i dramatów oraz Maciej Wojtyszko – dziekan Wydziału Reżyserii Akademii Teatralnej w Warszawie. Każdy z jurorów dysponował sakiewką wartości 10 tys. zł, którą miał prawo przyznać wybranemu reżyserowi. Swoją werdykt musiał uzasadnić publicznie w czasie zakończenia festiwalu. Ten, kto otrzymał trzy sakiewki, zdobywał także Laur Konrada. Katowickie Interpretacje są jedynym festiwalem teatralnym w Polsce, oddającym głos publiczności. Jurorzy społeczni wybierani są w drodze dwuetapowego konkursu na podstawie nadesłanych recenzji i rozmowy kwalifikacyjnej. W tym roku do biura organizacyjnego napłynęło 39 zgłoszeń z całej Polski.

INWAZJA Z REGIONU

Po raz pierwszy od początków konkursu aż 6 naszych regionalnych spektakli znalazło się na Interpretacjach – jeden mistrzowski, dwa konkursowe i trzy towarzyszące. To niesamowite osiągnięcie, zważywszy, że w poprzednich latach z trudem przebijało się najwyżej jedno przedstawienie z regionu. Zaczniemy od spektakli konkursowych. „Zbrodnia” Teatru Polskiego w Bielsku-Białej w reż. Eweliny Marciniak stała się wydarzeniem. Swobodnie inspirowany opowiadaniem Witolda Gombrowicza spektakl igrał z konwencją kryminału, wciągając w duszną atmosferę tajemnic jak z filmów Lyncha. Z minuty na minutę zarówno w rozwiązaniach inscenizacyjnych, jak i w grze aktorskiej przekraczał granice prawdopodobieństwa. Narastał absurd. W efekcie powstało przedstawienie mroczne, a jednocześnie zabawne. Co naprawdę dzieje się w higienicznym, mieszczańskim domu? Co zobaczymy, zdejmując bukowe panele i zrywając rajską tapetę? „Zbrodnia” zaprasza, by współczesnej rodzinie zajrzeć pod podszewkę.

O swoim pierwszym wielkim dramacie „Mewa” Czechow powiedział, że mieści się w nim „wiele rozmów o literaturze, mało akcji, pięć pudów miłości”. Ale to nie wszystko, z czego składa się sztuka Teatru Śląskiego w interpretacji Gabriela Gietzky’ego. Bo jest w niej także wiele rozmów o teatrze i istocie sztuki, dużo nadziei, nieco konfliktów między różnymi pokoleniami artystów. Jest w niej i dyskretny uśmiech



SOSNOWIECKI, MISTRZOWSKI „KORZENIEC” WYSTAWIONY ZOSTAŁ NA ZAMKNIĘCIE FESTIWALU

FOT. MACIEJ STOBIERSKI

Czechowa, świadomego ludzkich marzeń i słabości, widzącego śmieszność stworzonych przez siebie bohaterów i określającego swoją sztukę komedią.

W spektaklach towarzyszących zobaczyliśmy „Jakobiego i Leidentala” Joanny Zdrady z Teatru Śląskiego, „Między nami dobrze jest” Piotra Ratajczaka z Teatru Zagłębia w Sosnowcu i „Nieskończoną historię” Uli Kijak z Teatru Nowego w Zabrzu.

Czterdziestoletni Itamar Jakobi uświadomił sobie, że urodził się, aby żyć. Dlatego postanowił zniszczyć przyjaźń ze swoim najlepszym (a może jedynym?) przyjacielem Dawidem Leidentalem i rozpocząć świadome życie. Pierwszą decyzją, jaką podjął, był ślub z właśnie poznaną kobietą, która urzekła go zaletami ducha i ciała. Ale nie wszystko jest takie piękne, jak wydawało się na początku. Relacje damsko-męskie, w które miesza się porzucony przyjaciel, stają się coraz bardziej skomplikowane. Co zwycięży – miłość czy przyjaźń? I czy w ogóle chodzi o wielkie uczucia?

„W między nami dobrze jest” Dorota Masłowska wyrazistym językiem prowadzi narrację, której bohaterkami są przedstawicielki trzech pokoleń. Pisarka podkreśla troskę i niepokój o jednostkę i społeczeństwo. Pokazuje w krzywym zwierciadle rodzinę i Polskę XXI wieku. Zaproponowała widzom dramat dotyczący tożsamości narodowej, tradycji i pamięci. Mówiący o ludziach, którzy nie załapali się na transformację. Ci ludzie próbują żyć, realizować się na swoją miarę.

„Nieskończona historia” w reżyserii Uli Kijak to z kolei opowieść o kilku godzinach życia grupki ludzi, których losy



MONIKA STRZĘPKA OTRZYMAŁA LAUR KONRADA ZA SZUKANIE „W IMIĘ JAKUBA S.”



SCENA Z OBSYPANEGO NAGRODAMI SPEKTAKLU „W IMIĘ JAKUBA S.”

wzruszające, tragiczne i zabawne krzyżują się ze sobą. W ciągu kilku godzin wydarzają się śmierć, miłość, zwątpienie, kuszenie – i najważniejsze w życiu, choć najprostsze rozmowy. Właścicielka suki Azy, wiekowa już Aniela Dąbek, całą noc słucha pobożnego radia i jak co rano o świcie spieszy do kościoła, gdzie modlitwą sprawia, że świat nadal istnieje. Co takiego stało się, że ona właśnie w południe zadaje pytanie: „A jeśli Boga nie ma?”. Razem z bohaterami spektaklu możemy zmierzyć się z różnymi momentami życia ludzkiego, tymi, w które wierzymy i tymi, w które wątpimy.

Wydarzeniem Interpretacji był niewątpliwie „Korzeniec”. Jesteśmy w Sosnowcu w 1913 roku – za chwilę wybuchnie I wojna światowa i zmieni się polityczna mapa Europy, tymczasem redaktor miejscowej gazety, Walerian Monsiorski, próbuje rozwikłać zagadkę śmierci glazurnika Alojzego Korzeńca. „Korzeniec” to czarna komedia kryminalna. Jej sensacyjna intryga rozgrywa się w historycznych realiach wielokulturowego miasta i trójkąta trzech cesarzy, wśród galerii barwnych postaci, prawdziwych i fikcyjnych sosnowiczian. Za sprawą historycznych i przetworzonych zdjęć, przedmiotów, artefaktów wyłania się główny bohater opowieści – Sosnowiec (w spektaklu Sosnowice). Spektakl jest autorstwa wielokrotnie nagradzanego reżysera Remigiusza Brzyka (zdobywcy Lauru Konrada) i dramaturga Tomasza Śpiewaka, twórców głośnej „Brygady szlifierza Karhana” w Teatrze Nowym w Łodzi. Przedstawienie jest teatralną adaptacją powieści prof. Zbigniewa Białasa, która stała się literackim wydarzeniem 2011 roku. Inspiracją do napisania powieści stał się dla autora kafelek umieszczony w posadzce sosnowieckiego domu przy ulicy Żytniej 16 – „A. Korzeniec-Sosnowice”.

NAGRODZONE REŻYSERKI

W ciągu ostatnich lat Katowice dokumentowały przemiany w polskim teatrze. Prawie wszyscy znaczący twórcy pojawili się w programach Interpretacji. Co ważne, w okresie upadku wielu zachodnich scen spektakle polskich reżyserów (Lupy, Jarzyny, Warlikowskiego, Klaty) stały się jednymi z najważniejszych w Europie i na świecie.



FOT. MICHAŁ ANDRYSIAK

„ZBRODNIA” Z BIELSKIEGO TEATRU ZDOBYŁA DWA MIESZKI

Laur Konrada XV Interpretacji otrzymała Monika Strzępka, znana nie tylko z pracy w teatrze, ale też wyrazistych wypowiedzi na temat polskiego życia społecznego. Strzępka debiutowała na Scenie Polskiej Czeskiego Cieszyna „Polaroidami” Marka Ravenhilla w 2004 roku. Za swojego mistrza uważa Wojciecha Siemiona, zmarłego w 2010 roku aktora i pedagoga, specjalistę od folkloru i poezji. W pracy teatralnej podkreśla znaczenie słowa i wyczucia rytmiki tekstu. Na katowickim festiwalu zaprezentowała spektakl „W imię Jakuba S.”, koprodukcję Teatru Dramatycznego w Warszawie i Teatru Łaźnia Nowa w Krakowie. To próba opowiedzenia na nowo historii rabacji galicyjskiej, gdzie sprzeciw wobec pańszczyzny oznaczał bunt przeciwko danej raz na zawsze ekonomicznej logice.

Większość polskiego społeczeństwa ma korzenie na wsi. Ale nie tej dworskowo-ziemiańskiej, tylko pańszczyźnianej, chłopskiej, chamskiej. Dlaczego wobec tego w kalendarzu polskich świąt nie ma święta zniesienia pańszczyzny? Czy wolimy myśleć o sobie jako o potomkach tej lepszej, szlacheckiej części narodu? Przecież dzisiejsza klasa średnia i ci, którzy do niej aspirują, to potomkowie Jakuba Szeli. Tylko czy jesteśmy w stanie przyjąć inne niż te wyuczone w szkołach tropy tożsamości, gdzie Szela był mściwym prymitywem i zdrajcą, a jego rabacja inspirowanym przez austriacką administrację mordem na najlepszych synach narodu polskiego? Czy można dziś bez wstydu powiedzieć, że jesteśmy Europejczykami, bo potrafiliśmy kiedyś mordować? Szela, grany przez Krzysztofa Dracza, powraca po latach jako wstydlivy ojciec większości Polaków wywodzących się z awansu społecznego PRL. „W imię Jakuba S.” to także opowieść o powstającej polskiej klasie średniej.

Od 2007 roku Strzępka tworzy artystyczny tandem z dramatopisarzem Pawłem Demirskim, autorem prezentowanej w Katowicach sztuki. Ich wyrazisty, polityczny teatr przełamuje tabu i nie oszczędza również lewicowego środowiska. Posługuje się groteską, profanacją, czarnym humorem.

Drugie miejsce (2 mieszki) zajęła Ewelina Marciniak, przedstawicielka najmłodszego pokolenia twórców. Nagrodzono ją za spektakl „Zbrodnia” według przepisanej przez Michała Buszewicza tekstu Witolda Gombrowicza.

Trwający ponad tydzień przegląd dorobku polskich reżyserów był nie tylko wydarzeniem artystycznym, ale i skomplikowaną, a znakomicie wykonaną, operacją logistyczną. Dorota Pociask-Frącek, zastępca dyrektora Centrum Kultury Katowice, nie ukrywa, że kilka wyzwań było rzeczywiście nietypowych, jak choćby skomplikowany montaż dekoracji do niektórych spektakli czy zbudowanie specjalnej widowni nad istniejącą widownią Teatru Śląskiego dla potrzeb konkursowego „Króla Ryszarda III” Williama Szekspira w inscenizacji Grzegorza Wiśniewskiego.

Mnie podobał się spektakl „Ciała obce” Kuby Kowalskiego z Teatru Wybrzeże w Gdańsku. Historia oparta na faktach: Adam był aktywnym działaczem opozycji demokratycznej. Miał kochającą żonę, dziecko, oddanych kolegów, którzy uważali go za bohatera. Jego życie w PRL to przede wszystkim walka z komuną, msze, teatry podziemne, rozrzucanie ulotek i hasło: Bóg, Honor, Ojczyzna. Jednak ten chłop z krwi i kości, wojownik marzący o zrobieniu powstania, kochanek i kompan od kieliszka, skrywa w sobie tajemnicę: od dzieciństwa prowadzi wewnętrzną walkę z własnym ciałem i biologiczną płcią. Jest transseksualistą. Rozgrywając się równolegle w dwóch czasach sztuka Julii Holewińskiej to przede wszystkim tekst o dążeniu do wolności, zarówno narodowej, jak i osobistej. Wielka, oficjalna historia splota się z osobistym dramatem, górnolotne hasła ulegają rozpadowi w zetknięciu z tym, co nie mieści się w ramach tak zwanej normalności. „Ciała obce” w 2010 roku zostały uhonorowane Gdynią Nagrodą Dramaturgiczną. Kuba Kowalski powiedział o tej sztuce: – Solidarnościowe hasła, wysławiające pod niebiosa wolność i niepodległość całkowicie tracą znaczenie, kiedy dotyczą dramatu indywidualnego człowieka zmagającego się ze swoją tożsamością płciową. Ot, cała smutna prawda. Potrafimy je skandować, kiedy niesiemy wypisane na sztandarach, potrafimy walczyć o wolność i niepodległość narodu; jednak kompletnie nie umiemy uszanować ich w odniesieniu do jednostki, zwłaszcza kiedy dotyczą one jej seksualności i tożsamości płciowej. Taka to nasza niekonsekwencja.

GRAŻYNA KUROWSKA

WYNIKI FESTIWALU INTERPRETACJE

MIESZKI PO 10.000 ZŁ JURORZY PRZYZNALI:

- Dorota Masłowska – Ewelinie Marciniak za spektakl „Zbrodnia” (Teatr Polski w Bielsku-Białej)
- Remigiusz Brzyk – Monice Strzępce za spektakl „W imię Jakuba S.” (koprodukcja Teatru Dramatycznego m.st. Warszawy i Teatru Łaźnia Nowa w Krakowie)
- Mikołaj Grabowski – Ewelinie Marciniak za spektakl „Zbrodnia”
- Mirek Kaczmarek – Monice Strzępce za spektakl „W imię Jakuba S.”
- Maciej Wojtyczko – Monice Strzępce za spektakl „W imię Jakuba S.”

Laur Konrada, nagrodę główną festiwalu, otrzymała Monika Strzępka za sztukę „W imię Jakuba S.”. Reżyserka dostała także nagrody publiczności, jury społecznego oraz dziennikarzy i fotoreporterów.



FOT. WOJCIECH WANDZEL

PAZNOKCIE Z PASJĄ

ROZMOWA Z **MONIKĄ ZBIJOWSKĄ**,
STYLISTKĄ I MISTRZYNIA
W FANTAZYJNYM ZDOBIENIU PAZNOKCI

Organizm ludzki, nasze ciało, składa się z tylu elementów, a pani zainteresowała się paznokciami. Cemu?

Dość trudno mi na to odpowiedzieć. Zawsze, od dzieciństwa, intrygowały mnie dłonie i paznokcie. Poszłam jednak na studia zupełnie niezwiązane ze stylizacją paznokci, z kosmologią i medycyną. To właśnie wtedy zaczęłam jednak szukać własnej drogi, tego, co mnie naprawdę interesuje. Nie chciałam robić czegoś, co nie będzie dla mnie pasją. Na początku to była kosmetyka, która z czasem skierowała mnie w stronę paznokci.

Ma pani własny gabinet i jest mistrzynią w swoim zawodzie, na ścianach wisi mnóstwo dyplomów i certyfikatów, dopracowała się pani grona wiernych klientek. Gdzie znajdują się szkoły wiedzy o paznokciach?

W Polsce nie ma takich szkół, są instytucje szkoleniowe, uczące stylistów. Najlepszą i największą z nich jest Akademia Paznokcia w Pruszczu Gdańskim. Przeszłam w niej wiele kursów, a teraz jestem instruktorem i wiedzę zdobytą wcześniej przekazuję innym. Poza tym jestem absolwentką francuskiej szkoły stylizacji paznokci Peggy Sage Paris.

Wiedza o paznokciach to jedno, a klienci, którzy z tej wiedzy korzystają, to drugie. Porozmawiajmy o paznokciach Polaków. W jakim są stanie?

Nie najlepszym, delikatnie mówiąc. Nie dbamy o nie, podobnie jak o użębie i ogólną naszą kondycję zdrowotną. Świadomość, że powinniśmy dbać o tak ważne elementy naszego zdrowia, jak dłonie, stopy i paznokcie, jest niska. Bardzo niska, nad czym ubolewam. Staram się jednak tę świadomość rozbudzać, docierać z wiedzą do ludzi. Rok temu wydałam książkę „Piękne paznokcie”. To jest poradnik dla każdego, nie tylko dla kobiet. Jest tam wiele praktycznych uwag, jak dbać o dłonie na co dzień prostymi, domowymi sposobami.

Pokaż mi swoje paznokcie, a powiem ci, kim jesteś...

Właśnie! Na dłoniach widać wszystko, nasze przyzwyczajenia, nawyki żywieniowe, choroby.

Czym zajmuje się pani na co dzień?...

Pielęgnacją dłoni, stóp, a więc naturalnym manicure, wyrównywaniem paznokci, wycinaniem skórek, pedicure oraz przedłużaniem i stylizacją paznokci użytkowych.

A od święta?...

Jeśli tylko mam możliwość, spełniam się artystycznie w sztuce, która nazywa się *nail art*, w mistrzostwach w fantazyjnym zdobieniu paznokci. Takie zawody organizowane są w Polsce i na świecie. Jestem kilkukrotną finalistką polskich i międzynarodowych mistrzostw *nail artu*.

Na czym polega ta konkurencja?

Pracujemy na modelkach. Ocenie podlega ogólny wizerunek dziewczyn. Wcześniej oczywiście poznajemy temat konkursu, żeby móc przygotować stylizację. Nad projektem spędzam czasami dwa tygodnie, długie, cudowne godziny, w czasie których można stworzyć coś niesamowitego. Ostatnio na przykład brałam udział w konkursie „Metropolia Silesia miastem ogrodów”. To był bardzo trudny temat do przedstawienia na paznokciach...

...bo paznokciek powierzchnię ma niewielką!

Mistrzowski paznokieć, sztuczny oczywiście, ma długość około 10 cm i szerokość naturalnego paznokcia, czyli nieco ponad 1 cm. I na tej powierzchni trzeba coś stworzyć: dzieło,



obraz, wyobrażenie, wizję artystyczną. Ja najbardziej lubię pracować akrylami, bo stwarza najwięcej możliwości. Dzięki niemu jestem w stanie tworzyć nawet rzeźby trójwymiarowe, za pomocą pudru akrylowego połączonego z płynem.

A co pani stworzyła dla Katowic?

To była jedna z moich najbardziej interesujących prac. Stylizacja stworzona na czas konkursu, bo normalnie nikt nie byłby w stanie z czymś takim funkcjonować. Na jednej dłoni zbudowałam nasyceny kolorami ogród, a na drugiej szare, smutne budynki śląskie. Żeby można było symbolicznie zobaczyć różnicę między tym, co było kiedyś, a co może być na Śląsku obecnie.

Zatem dzieło *nail art* to nie jest obraz na jednym paznokciu, ale na dziesięciu palcach?

Tak, obraz musi tworzyć całość. To kompozycja. Jak wspomniałam, oceniana jest cała modelka, jej ogólny wizerunek, także uczesanie, makijaż. Wszystko musi być zgodne z tematem konkursu. Zdobyłam za tę pracę trzecie miejsce wśród kilkunastu uczestników mistrzostw.

Uczestniczyła też pani w konkursie międzynarodowym. Z jakimi efektami?

Zdobyłam pierwsze miejsce. Konkurencja była duża. Najsilniejsza ze strony Rosjank, niesamowicie uzdolnionych. Mam wrażenie, że one rodzą się z talentem do stylizacji paznokcia. Rosja jest potęgą w *nail art*. Dużo jeszcze musimy się uczyć od Rosjank, bo im to przychodzi naturalnie, łatwo. U nich *nail art* jest sztuką wykorzystywaną na co dzień, tam klientki lubią nosić fantazyjne paznokcie. Polki pod tym względem są bardziej stonowane, tradycyjne, chociaż stylistki mamy świetne.

Co się liczy w takim konkursie?

Fantazyjność, oryginalność. Jeśli można czymś sędziów zaskoczyć, to tym lepiej. Problem polega na zaprojektowaniu obrazu na niewielkiej powierzchni. Nigdy nie namalowałam niczego na czymś dużym, nie zdarzyło mi się. Uwielbiam te niewielkie powierzchnie i filigranowe wzorki. Od razu tworzę miniatury.

A czy w tej dyscyplinie pojawiają się panowie?





MISTRZOWSKA STYLIZACJA STWORZONA NA KONKURS „METROPOLIA SILESIA MIASTEM OGRODÓW”

Tak, coraz częściej. Nawet na mistrzostwach i mają niezłe osiągnięcia. Ale pracuję na paznokciach pań. Chociaż, skoro o tym mówimy, zdarzyło mi się raz zabrać na konkurs mężczyznę. Temat dotyczył magii Hollywood, a ja chciałam stworzyć wizerunek Jamesa Bonda, więc wzięłam faceta.

To miła zabawa i chyba kosztowna?

Tak, materiały są zagraniczne, francuskie i amerykańskie, sporo kosztują, ale czego się nie robi dla swojej pasji... Jestem dumna, że dzięki właśnie tej pasji jako jedyna z Polski zostałam wybrana przez amerykańskiego autora do współpracy przy tworzeniu książki o *nail art*. Zeszły rok był dla mnie fantastyczny nie tylko pod tym względem. Zdjęcia moich prac wystawione zostały w galerii w Los Angeles, a autorskie wzory zaprezentowałam na modelkach także w Berlinie. W listopadzie 2012 roku reprezentowałam Polskę na pierwszych w historii mistrzostwach The National Nail Tech Competition podczas festiwalu Me Am Chic Women's Expo 2012 na Maltzie jako przewodnicząca składu sędziowskiego. Prowadziłam także pokaz autorskich zdobień *nail art*, który cieszył się ogromną popularnością. W Polsce takie wystawy nie były jeszcze organizowane, bo społeczeństwo nie dojrzało do świadomości, że jest to rodzaj sztuki. Ale, jak powiedzieliśmy, wszystko po kolei: najpierw powinniśmy zadbać o paznokcie, żeby dojrzeć do tego wyższego etapu przeżywania sztuki, nietraktowania jej jako dziwactwa. Dla wielu lu-

dzi to, co robię, jest zabawą, niczym poważnym, piłowaniem pazurów, a dla mnie to całe życie.

A dla obgryzających paznokcie też pani znajdzie radę?

Oczywiście, to poważny problem, rzutujący na zdrowie. Wielu rodziców martwi się o swoje dzieci, bo obgryzają. Na to też są dobre sposoby. Nie należą do nich krzyki i bicie po łapach, lecz konsekwentne leczenie przy współpracy z gabinetem pielęgnacji paznokci.

Jaki kolor paznokci jest teraz modny?

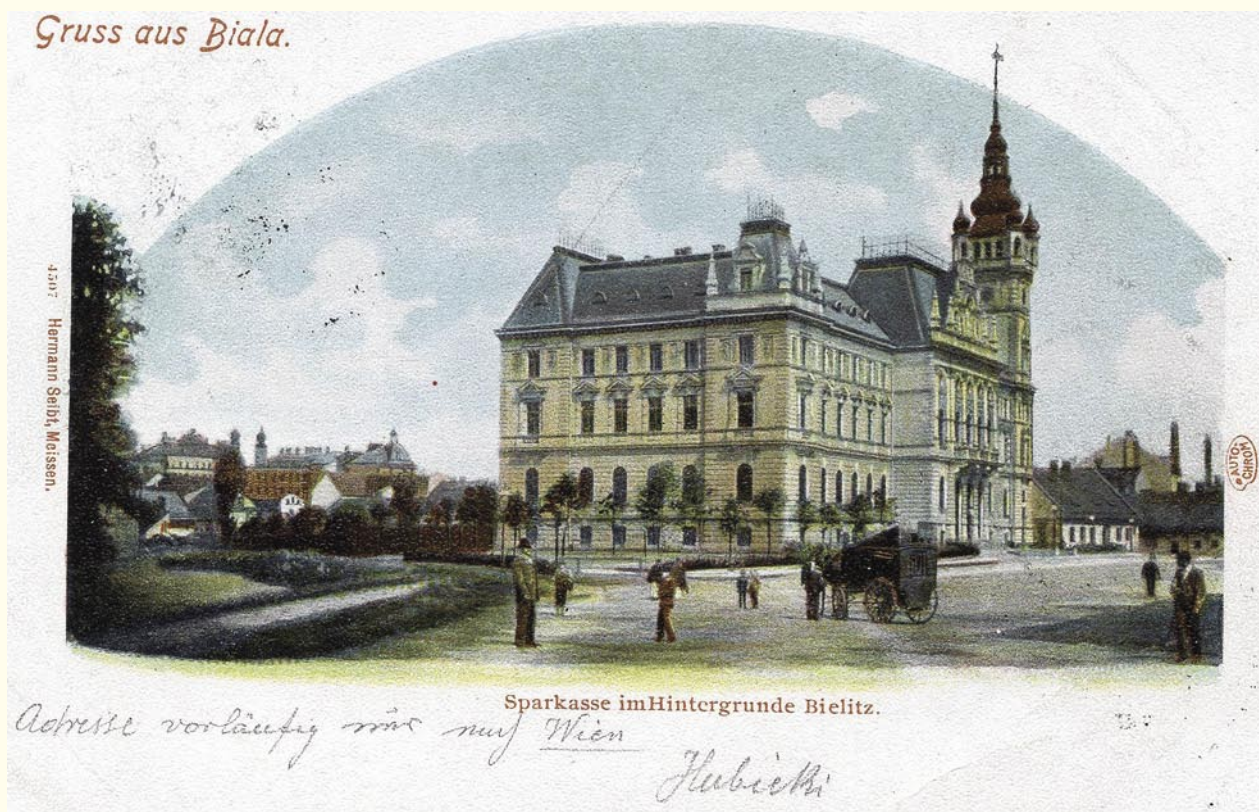
Z palety barw każda jest do wykorzystania. Kolory i wzory podlegają rzecz jasna sezonowym modom, muszą być dopasowane do kreacji i okazji, ale zawsze i niezmiennie, na każdą okazję, najczęściej wybierany przez klientki jest kolor czerwony, ponadczasowy.

Dziękuję za rozmowę.

ROZMAWIAŁ STANISŁAW BUBIN

MONIKA ZBIJOWSKA

Stylizacją paznokci zajmuje się od 2007 roku. Jest absolwentką francuskiej szkoły stylizacji paznokci Peggy Sage Paris. Umiejętności doskonaliła pod okiem światowej sławy stylistów, takich jak Tom Holcomb (USA), Elisabeth Schuetz (USA), Pepyn Borrel (Holandia), bracia Vu i Robert Ngugen (USA), Liliya Sereditskaya (Ukraina), Valentina Denisenko (Ukraina), Rachel Mouritsen (USA), Hitomi Ariyoshi (Japonia), Lorena Marquez (USA), Pauline Feinauer (Niemcy), Antony Buckley (Wielka Brytania), Christine Le (USA), Anastasia Luksha (Rosja), Christine Hagl (Niemcy), Julia Dmitrieva (Rosja), Victorie Spacilova (Czechy), Victoria Klopotova (Ukraina), Krisztina Ujvari (Węgry). Uczyła się także w słynnej Szkole Stylizacji Paznokci Eleny Shanskij. Pobierała nauki od włoskiego mistrza *nail art* – Aleka. Prace Moniki Zbijowskiej były wystawiane w Nowym Jorku, Miami, Los Angeles, a także w Berlinie w galerii Henrika Springmanna podczas wystawy Imperial Nail Salon. Jest autorką licznych artykułów na łamach międzynarodowej i polskiej prasy branżowej. W 2011 roku nawiązała współpracę z amerykańskim artystą Dine (Carlos Rolan) przy tworzeniu książki „Nailed. The History of Nail Culture and Dine”. Znalazły się w niej liczne stylizacje jej autorstwa. Jesienią 2012 roku wydała własną książkę – poradnik „Piękne paznokcie. Tajniki kobiecej urody”. Jako dyplomowany instruktor Akademii Paznokcia prowadzi również szkolenia z zakresu przedłużania i stylizacji paznokci oraz fantazyjnych zdobień.



RATUSZ W BIAŁEJ ZBUDOWANY ZOSTAŁ W LATACH 1895-1897 WEDŁUG PROJEKTU EMANUELA ROSTA, PIERWOTNIE JAKO KOMUNALNA KASA OSZCZĘDNOŚCI

NARODOWCY I GESZEFCIARZE

Jak sto lat temu posłowie z Galicji uprawiali politykę

JACEK KACHEL

O TEMPORA, O MORES (CO ZA CZASY, CO ZA OBYCZAJE) – CHĘTNIE POWTARZAMY ZA CYCERONEM, PATRZĄC NA TO, CO WYPRAWIA SIĘ DZISIAJ W ŚWIECIE POLITYCZNYM. STARSZY POWIADAJĄ, ŻE KIEDYŚ TO BYŁO NIE DO POMYSŁENIA, A URODZENI JESZCZE WCZEŚNIEJ MÓWIĄ ZA SWOIMI PRZODKAMI, ŻE NAJLEPIEJ BYŁO ZA CESARZA FRANCISZKA JÓZEFA.

Faktycznie, współczesne metody uprawiania polityki są przerażające. Panuje powszechne przyzwolenie na mijanie się z prawdą, a wśród polityków normą jest „szorstka przyjaźń”, nie mówiąc o tym, że wielu z nich ma problemy z przestrzeganiem podstawowych norm prawnych. Do tego dochodzą korupcja, ciągle zmiany przynależności partyjnej i nieprzestrzeganie jakichkolwiek zasad. Zanim jednak ostatecznie stwierdzimy, że gorzej już być nie może, popatrzmy, co działo się w polityce sto lat temu, żeby nabrać dystansu do bieżących wydarzeń.

¹ Por. Wiener Bilder nr 4, 25.01.1911, str. 8.

² Dziennik Cieszyński nr 24, 29.01.1911, str. 5.

NOWY PREZES

Rok 1911 przyniósł duże zmiany na politycznej scenie c.k. Austrii. 18 stycznia prezesem Koła Polskiego w parlamencie wiedeńskim został marszałek powiatu bialskiego, Stanisław Łazarski.¹ Z Białej wyjechała delegacja z burmistrzem Gürtlerem i wicemarszałkiem Wenzeliselem do Wiednia, aby złożyć mu gratulacje. W skład delegacji weszli również przedstawiciele Żywca i Kęt.² Z nominacji cieszyli się wszyscy, nawet Nowy Czas, niezbyt dotąd życzliwy dla polskich polityków: Dr Łazarski dostał się dopiero przed 3 laty przy wyborach powszechnych do Rady Państwa. Jest mimo 62 lat, które liczy, najmłodszym członkiem Koła Polskiego, zadziwił więc ogólnie, że go prawie prezesem wybrano. Sprawa daje się



KSIAŹD STANISŁAW STOJAŁOWSKI

na ten sposób wytłumaczyć, że dr Łazariski jest umiarkowanym demokratą, nie należał do żadnej grupy Koła Polskiego, należy do ludzi wyrozumiałych, dlatego też wszystkie grupy zwalczające się między sobą wybrały jednogłośnie dr Łazarskiego prezesem Koła.³

Trzeba przyznać, że był on prawdziwym mężem stanu, który i dzisiaj mógłby być wzorcem.

Jednak jego polityczni koledzy z Koła Polskiego do wzorowych nie należeli. Kilku z nich miało sprawy sądowe. Jednemu z nich, ks. Andrzejowi Szponderowi, kierownikowi Towarzystwa Emigracyjnego pod wezwaniem św. Rafała, zarzucono, że wyzyskuje wychodźców (emigrantów) i działa na ich szkodę.⁴ Wprawdzie w tej sprawie zapadł wyrok bez odszkodowania i przeprosin⁵, jednak dla ks. posła Szpondera, jak donosił *Polnische Korrespondenz*, sprawa zakończyła się wydaleniem z frakcji centrum.⁶

To niejedyny skandal z polskimi posłami do Wiednia. *Kurier Lwowski* informował w tym czasie, że zarzut prywaty postawiono siedmiu innym posłom, w tym Stohandlowi i ks. Stojalowskiemu.⁷ Prezydium Izby Sądu Powiatowego w Krakowie zażądało wydalenia posła Wójcika za nieuzasadnione zarzucanie czynów niehonorowych i publiczne obelgi. Również ks. Stanisław Stojalowski, duchowny i polityk z Galicji, miał problemy z prawem.⁸

ALKOHOL TO PODSTAWA

W marcu 1911 roku sytuacja budżetu c.k. Austrii była opłakana. Minister finansów Leon Biliński dla ratowania budżetu przywiózł do parlamentu propozycje nowych, wyższych podatków od piwa, wina, zapalek, usług pocztowych, a nawet samochodów.⁹ Wysoka izba nie myślała o grożących jej

przedterminowych wyborach, lecz zajęła się alkoholem, gdyż to on był podstawą budżetu.¹⁰ W 1910 roku wprowadzono wprawdzie nowe prawo podatkowe i nowe koncesje, ale nic to nie dało i stan finansów nadal był opłakany.

Osobliwie skomentował tę sytuację satyryczny magazyn *Kikeriki*, pokazując żydowskich karczmarzy w podwójnej roli: zarabiali na pośrednictwie, załatwiając sobie koncesje u polskiego posła Paducha, i rozpijali polskich chłopów.¹¹ Gazeta nieprzypadkowo zajęła się tym posłem: „wślawił się” on sprzedawaniem koncesji. Wprawdzie Koło Polskie odcięło się od jego praktyk, jednak Paduch nadal uczestniczył w pracach klubu, mimo że brał łapówki za przyznawanie propinacji. W tych okolicznościach cały parlament protestował, a *Polski Klub mówił: fuj...*¹² Inne pismo, *Die Bombe*, zajmujące się sprawami parlamentu tak podsumowało te fakty: *W Polskim Klubie doszło do rozłamu. Wielkim odkryciem było, że koncesje zostały sprzedane. Nie ukarano jednak winnych, lecz pomimo tego przedłożono rządowi koncesje. Bowiem bez koncesji Polski Klub nie mógłby istnieć, ponieważ w większości zgromadzili się tam koncesjonowani politycy.*¹³ Kolejne gazeta, *Der Floh*, zamieściła prześmiewczy wierszyk dotyczący tej sprawy pt. „Szlachetni Polacy”, zaczynający się od słów: *W wysokim domu siedzą szlachetni szlachcice, którzy powinni siedzieć gdzie indziej...*¹⁴

Sprawa była poważna, gdyż faktycznie Klub Polski lobbował za tym, żeby w Galicji jak najwięcej koncesji otrzymali Polacy. Zdarzało się, że niektórzy posłowie zapominali, że cel nie uświęca środków i postępowali skandalicznie, wcale się z tym nie kryjąc. Oprócz Paducha szczególnie aktywnie działał w tej materii poseł Stapiński, który tak tłumaczył swoje racje: *Drogi kolego, proszę wziąć ze mnie przykład. Nie można kurczowo zawsze trzymać się zasad, bowiem musimy robić koncesje dla swoich, musimy wspierać swoich. I ja nadal będę robił koncesje.*¹⁵

W ówczesnym Kole Polskim w Wiedniu zasiadało 71 posłów, którzy dzielili się na sześć frakcji. Silną grupę stanowili chłopci, których było 20, a rękodzielników było 3. *Osób z ukończoną wyższą szkołą, względnie ze stopniem akademickim 42, osób ze średnim wykształceniem 7, właścicieli obszarów dworskich 9, wielkich przemysłowców 4, księży 9, lekarzy 2, adwokatów 4, urzędników sądowych 5, nauczycieli szkół średnich i profesorów szkół wyższych 10.*¹⁶

Do tych informacji trzeba również dołożyć i tę, że kilku polskich posłów miało w tym czasie procesy sądowe, głównie

³ *Nowy Czas* nr 5, 29.01.1911, str. 36.

⁴ Por. *Kurier Lwowski* nr 106, 6.03.1911, s. 1.

⁵ Por. *Czas* nr 106, 6.03.1911, s. 1, *Czas* nr 108, 7.03.1911, s. 3, *Czas* nr 109, 8.03.1911, s. 1, *Czas* nr 110, 8.03.1911, s. 2, *Czas* nr 111, 9.03.1911, s. 2.

⁶ Cytat za *Czas* nr 133, 22.03.1911, s. 1.

⁷ Por. *Kurier Lwowski* nr 127, 18.03.1911, s. 2.

⁸ Por. *Kurier Lwowski* nr 110 8.03.1911, s. 3.

⁹ *Kikeriki* nr 24 19.03.1911, s. 1.

¹⁰ Por. *Silesia* nr 72, 29.03.1911, s. 3.

¹¹ *Kikeriki* nr 25, 26.03.1911, s. 1.

¹² *Kikeriki* nr 24, 23.03.1911, s. 2.

¹³ *Die Bombe* nr 14, 2.04. 1911, s. 2.

¹⁴ *Der Floh* nr 10, 5.03.1911, s. 2.

¹⁵ *Der Floh* nr 14/15, 9.04.1911, s. 2.

¹⁶ *Czas* nr 147, 31.03.1911, s. 1.



BIAŁA, PLAC JÓZEFA (DZIŚ WOJSKA POLSKIEGO) OKOŁO ROKU 1910

dotyczące niewłaściwego obchodzenia się z groszem publicznym. Należeli do nich Paduch, Więcek, Fiedler, Stapiński, ks. Stojałowski i ks. Szponder.¹⁷

WYBORY, WYBORY...

Wydarzeniem roku 1911 były wybory do Krajowego Sejmu austriackiego. Silną grupę na terenie dzisiejszego Podbeskidzia stanowili stojałowczycy, zwolennicy ks. Stojałowskiego, założyciela Polskiego Centrum Ludowego. Gdy ogłoszono termin wyborów, partie zwały szyki. O reelekcję walczyli między innymi chłopscy kandydaci Maciej Fijak z Pietrzykowic i Ludwik Dobija z Rybarzowic. W Łodygowicach odbyło się zebranie, na którym zdawał sprawozdanie ze swojej działalności poseł Fijak: *Najpierw (...) pan Fijak przedstawił zebranym opłakany stan izby posłów oraz wykazał obłudne postępowanie rządu, a zarazem zręczną grę konserwatystów, którzy kupili p. Stapińskiego i używali go potem celem rozbicia jedności posłów, wysłanych z powszechnych wyborów (...). W końcu zebrani uchwalili posłowi Fijkowi wotum zaufania.*¹⁸ O szansach wyborczych Fijaka pisał też *Dziennik Cieszyński*, który jego dokonania w parlamencie ocenił jako niewystarczające: *U nas pan Fijak już przepadł i ledwie to się stało, a już się roi od nowych kandydatów, którzy gonią za mandatem (...). Największe szanse można rokować, jak się zdaje, p. Dobiji.*¹⁹

Z kolei *Robotnik Śląski* ocenił: *Ludzie głośno mówią, że więcej nie będą głosowali na Dobiję. Zraził on wszystkich przeciwko sobie najbardziej przez swoje manipulacje przy regulowaniu rzeki. Już trzy lata mierzy, zwozi wiklinę i kamienie, wbija wzdłuż rzeki cienkie tyczki, ale skutku pomyślnego tej pracy nie widać. Wiklina zeschnęła się i pogniła, kamienie chłopcy porozrzucali, a tyczki, rzadko i zbyt blisko koryta powbijane,*

*wiosenna woda zabrała. „Poseł” Dobija zrobił na tym wprawdzie majątek, lecz ludność ma z tego tylko rozczarowanie i wielką szkodę. Teraz Dobija znów zaczyna mierzyć – po raz dziesiąty może, ale mu już nikt nie wierzy i wszyscy są przeciwko niemu.*²⁰

Krytyka nie zraziła ubiegającego się o reelekcję Ludwika Dobiji, gdyż postawił on... na inny elektorat. Jak informowała niemiecka *Silesia*, 4 kwietnia zorganizował zebranie właścicieli szynków z rejonu Białej i Kęt, podczas którego proponował zawiązanie związku zawodowego „gospodzików”. W trakcie spotkania uchwalono protest przeciwko wysokim opłatom za koncesje na sprzedaż alkoholu.²¹ Te starania zauważała też opiniotwórcza *Neue Freie Presse*, jednak w swoim horoskopie wyborczym stojałowczykom dawała co najwyżej dwa mandaty, a generalnie zapowiadała zwycięstwo konserwatystów.²² *Die Bombe* przekonywała, że Stapiński i Łazarski nie są dobrymi sprzymierzeńcami dla rządu. W związku z tym, jeżeli rząd chce pracować dalej, musi ten stan zmienić.²³ Wiedeńskie gazety chętnie dzieliły Koło Polskie na lojalną grupę wspierającą rząd i na dwa pozostałe odłamy: narodowców (Łazarski), którzy przy każdej okazji stawiali ostre warunki za poparcie władz, i geszefciarzy (Stapiński), którzy dla zysku gotowi byli na każdy układ.

Gdy chodzi o Fijaka, jego największą zaletą była wierność, o czym świadczy fragment jego odezwy: *Bracia stojałowczycy,*

¹⁷ Por. *Czas* nr 112, 9.03.1911, s. 1.

¹⁸ *Wieniec i Pszczółka* nr 16, 16.04.1911, s. 232.

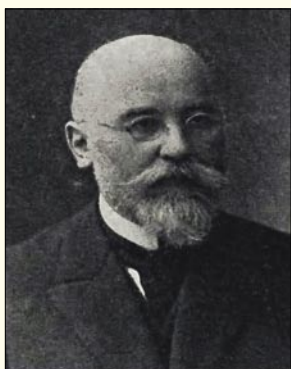
¹⁹ *Dziennik Cieszyński* nr 93, 22.04.1911, s. 6.

²⁰ *Robotnik Śląski* nr 16, 21.04.1911, s. 4.

²¹ Por. *Silesia* nr 76, 2.04.1911, s. 5.

²² *Neue Freie Presse* nr 16, 12.04.1911, s. 3.

²³ *Die Bombe* nr 14, 2.04.1911, s. 2.



POSŁOWIE POLSCY DO PARLAMENTU W WIEDNIU: STANISŁAW ŁAZARSKI, LUDWIK DOBIJA, MACIEJ FIJAK, JAN STAPIŃSKI

wy wypróbowani starzy wiarusi, pójdźcie do wyborów zgodnie i karnie, bo to jest najważniejsze przy wyborach. Mamy swego starego i doświadczonego wodza, pokażmy mu, że stoimy przy nim i programie stronnictwa chrześcijańsko-ludowego. Słuchajmy jego rozkazów, choćby się nam chwilowo zdało, że nawet źle rozkazuje, bo on źle nie prowadził nas nigdy; wreszcie tylko karnością i posłuchem zwyciężymy (...). Taka moja rada przed obecnymi wyborami, i zawsze będzie taka sama: tylko zgodnie i karnie, a zwycięstwo będzie nasze!²⁴

Jednak w partii wrzało. Na zebraniu w Żywcu postanowiono, kto będzie reprezentował stronnictwo podczas wyborów.²⁵ Po wielkich targach ludowcy wystawili w okręgu żywieckim 4 kandydatów do mandatu: Boguckiego, Fijaka, Krupkę i Marka. Michał Marek dla dobra partii, aby nie rozpraszać głosów, do wyborów nie stanął. Przyglądając się tym wszystkim ruchom wyborczym, *Der Floh* zaproponował Polakom satyryczne hasło: *Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy Stapińskiego wybierze...*²⁶

PIERWSZE STARCIE

Maj 1911 roku był czasem wzmożonych przygotowań do wyborów. W powiecie żywieckim o jeden mandat do Rady Państwa ubiegało się aż 23 kandydatów.²⁷ Gazety mało szans dawały aptekarzowi Szczepańskiemu i radcy sądowemu Horóbskiemu. Bardzo aktywny był Cezary Haller.²⁸ Czas, komentując wysyp kandydatów, stwierdził: *Ponadto jest kilka jeszcze wręcz humorystycznych słabszych kandydatur, zachęconych pewnie przez garstkę „dobrych znajomych przy kieliszku”*.²⁹ Natomiast *Kikeriki* studiował rozgrzane głowy wyborców,

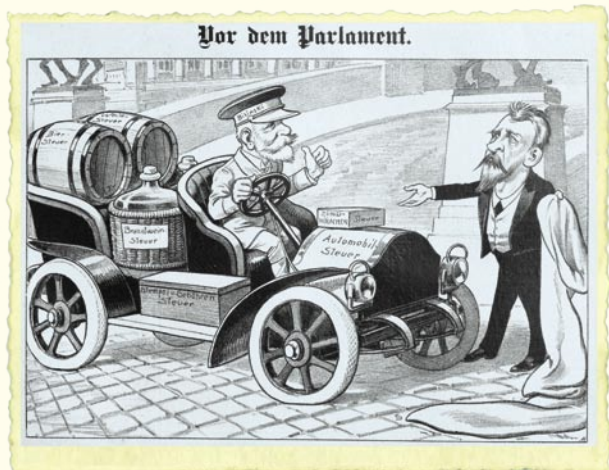
pokazując, że politycy mają wyuczony sposób zachowania: oto przed wyborami kłaniają się w pas elektoratowi, a po wyborach pokazują dobitnie, gdzie go mają.³⁰

Grupa ks. Stojałowskiego była przekonana, że nawet jeżeli nie wygra wyborów, to na pewno utrzyma dotychczasowe mandaty. Ustalono, że z powiatu bialskiego kandydować będą Stanisław Stohandel i Ludwik Dobija. Tylko tych dwóch należy z całą usilnością poprzeć, innych bezwzględnie zwalczać.³¹ Apel powtarzano kilkakrotnie, bowiem pojawiły się informacje, że konserwatyści z ludowcami zawiązali spisek, aby nie dopuścić do kolejnego wyboru ks. Stojałowskiego, Stohandela i Fijaka.³²

KIELBASA WYBORCZA

Wybory do Sejmu Krajowego weszły w decydujący okres, więc stronnictwa nie przebiegały w słowach, żeby jak najbardziej dokuczyć przeciwnikom politycznym i zyskać dodatkowe głosy. Obrazowo opisał to na łamach *Wienca i Pszczółki* Maciej Fijak, poseł z Pietrzykowic, który starał się o reelekcję: *Każdy z młodszych lat pamięta, ilu smykało się różnych wędrownych po naszych wioskach. Kobiety bały się ich, zwłaszcza że straszili czarami na chudobę. Dawaly więc na odczepnego jajka, słoninę, pieniądze, byle jak najprędzej poszli. Prawo i ustawa położyły następnie koniec wędrowcom. Lecz tego roku jakby z rogu obfitości wysunęło się na nowo tyle tych wędrownych, że nie tylko kobiety, ale i mężczyźni mają z nimi przykrości. Dawniej płacono wędrownym, a obecnie płacą wędrowni. Każdy wędrowny płaci wódkę, piwo, cygaro, ale zaraz pyta: na kogo będziesz głosował?*³³ O niestosownych praktykach polityków dla pozyskiwania głosów ze swadą pisało też czasopismo satyryczne *Diabeł* pod wymownym tytułem „Kandydaci”³⁴

Wyniki wyborów z 13 czerwca 1911 roku nie przyniosły w wielu okręgach rozstrzygnięcia. Cieszyć się mógł jedynie



SATYRA POLITYCZNA Z 1911 ROKU NA MINISTRA FINANSÓW LEONA BILIŃSKIEGO

²⁴ *Wieniec i Pszczółka* nr 17, 23.04.1911

²⁵ Por. *Kurier Lwowski* nr 170, 14.04.1911, s. 4.

²⁶ *Der Floh* nr 17/18, 30.04.1911, s. 1.

²⁷ Por. *Nowy Czas* nr 20, 14.05.1911, s. 161.

²⁸ *Czas* nr 209, 9.05.1911, s. 2.

²⁹ *Czas* nr 205, 5.05.1911, s. 1.

³⁰ *Kikeriki* nr 41, 21.05.1911, s. 2.

³¹ *Wieniec i Pszczółka* nr 19, 7.05.1911, s. 272.

³² Por. *Wieniec i Pszczółka* nr 20, 14.05.1911, s. 285.

³³ *Wieniec i Pszczółka* nr 23, 4.06.1911, s. 305.

³⁴ *Diabeł* nr 11, 1.06.1911, s. 1.

Der galizische Schenker



in seiner Doppeltätigkeit.

SATYRA POLITYCZNA Z 1911 ROKU NA HANDLOWANIE KONCESJAMI NA ALKOHOL ZA ŁĄPÓWKI

dr Stanisław Łazarski, który zdeklasował rywali.³⁵ Tymczasem w obozie chrześcijańsko-społecznym doszło do rozłamu. O mandat pokłócili się tak silnie Stanisław Stohandel z Ludwikiem Dobiją, że ostatecznie Dobija stał się niezależnym kandydatem popieranym przez rząd.³⁶ Prasa szeroko informowała o żenujących walkach między kandydatami. *Dziennik Cieszyński* notował: *W całym kraju zamieszanie ogromne, losy nie szczędziły go i kresowym powiatom, a ludzie nie orientujący się albo złej woli pogłębiali różnice pomiędzy Polakami – po nas choćby potop – bylebyśmy na swoim postawili. Są sytuacje, że upaść przy wyborach jest zaszczytem, zwycięstwo przygotowane zdradą, przekupstwem, pogwałceniem swobód obywatelskich może przynieść korzyści materialne, zabija jednak moralnie.*³⁷

ROZRACHUNKI

W trzeciej turze, która odbyła się 28 czerwca, zmierzyli się ze sobą w okręgu białskim Kubik (ludowiec), Dobija (niezależny) i Stohandel (stojałowczyk). Natomiast w okręgu żywieckim Rusin (ludowiec), Fijak (stojałowczyk) i Haller (narodowiec).³⁸ Podczas tej tury Ludwik Dobija o wsparcie poprosił ludowców i zobowiązał się, że w parlamencie wejdzie do klubu ludowców. Ostatecznie posłami zostali Jan Kubik, Ludwik Dobija, Cezary Haller i Józef Rusin.³⁹ Wyniki wyborów pokazały, że stronnictwo ks. Sojałowskiego, jak również on sam, ponieśli klęskę. Opozycja za główną przyczynę uznała niekonsekwencję wodza i przyłączenie się do narodowej demokracji.⁴⁰ Na słaby wynik złożyło się wiele czynników. Oprócz tych zewnętrznych (wrogość austriackiego namiestnika i jego ludzi, złe kontakty z kurią krakowską, rozdrobnienie sceny

politycznej), doszły czynniki wewnętrzne (brak nowej wizji politycznej, oparcie się na tzw. politykach sprawdzonych, czyli „miernych, ale wiernych”). Gdy do tego dodamy konflikt w stronnictwie, wywołany chwiejną postawą posła Dobiji, poznamy w całości przyczyny tej porażki. Na łamach *Wienca i Pszczółki* pojawiły się długie artykuły pod wymownymi tytułami: *Wybrani czy mianowani posłowie?*,⁴¹ *Upadliśmy, czyśmy zostali ograbieni?*⁴² *Gwałty wyborcze, Wiernym i niezłomnym cześć i dzięki!*⁴³ *Pokłosie wyborcze*,⁴⁴ *Złodzieje*.⁴⁵

Ostatecznie ogłoszono w Białej wyniki wyborów. Dwaj kandydaci rządowi: osławiony bluźnierca i zawadyjaka Jan Kubik oraz zaprzaniec, geszefciarz Ludwik Dobija, mianowani zostali posłami na powiat bialski. Wiadomość tę powitała radośnie czekająca w knajpach hałastra pijacka, razem z Niemcami, żydami i częścią rządowo-ludowcowej polskiej, tak zwanej inteligencji bialskiej.⁴⁶ Szczególnie mocno gazeta piętnowała tych posłów, ponieważ Kubik wystąpił z partii ks. Stojałowskiego zaraz na początku XX wieku, a Dobija jeszcze miesiąc wcześniej był kandydatem mocno popieranym przez stronnictwo. W nowym parlamencie szukał sobie miejsca i jak

³⁵ *Wieniec i Pszczółka* nr 24, 11.06.1911, s. 346.

³⁶ Por. *Wieniec i Pszczółka* nr 24, 11.06.1911, s. 347.

³⁷ *Dziennik Cieszyński* nr 143, 24.06.1911, s. 3.

³⁸ Por. *Czas* nr 284, 25.06.1911, s. 1.

³⁹ *Czas* nr 290, 29.06.1911, s. 1.

⁴⁰ *Czas* nr 301, 6.07.1911, s. 1.

⁴¹ *Wieniec i Pszczółka* nr 27, 2.07.1911, s. 374-375.

⁴² *Wieniec i Pszczółka* nr 27, 2.07.1911, s. 375.

⁴³ *Wieniec i Pszczółka* nr 28, 9.07.1911, s. 391.

⁴⁴ *Wieniec i Pszczółka* nr 29, 16.07.1911, s. 412-413.

⁴⁵ *Wieniec i Pszczółka* nr 29, 16.07.1911, s. 430-431.

⁴⁶ *Wieniec i Pszczółka* nr 27, 2.07.1911, s. 382.

donoszono z Wiednia, *podobno przystępuje do formułującego się centrum*.⁴⁷ Potwierdził tę informację *Kurier Lwowski*, przekazując dodatkowo, że Dobija zrobił kolejną wolnę. Oto w trakcie wyborów, gdy zmieniał barwy partyjne, zobowiązał się, że w parlamencie wejdzie do klubu ludowców. Na tę okoliczność podpisał nawet odpowiedni cyrograf, po czym oświadczył, że nie ma takiego zamiaru.⁴⁸

Szczególnie dużo nieprawidłowości i niesamowitych zbiegów okoliczności towarzyszyło Maciejowi Fijakowi z Pietrzykowic. Ten poseł chłopski ze względu na ślepą lojalność względem ks. Stojałowskiego był przez przeciwników mocno atakowany. Kilkakrotnie w wyborach doświadczył „cudów nad urną”: *W gminie Stryzawie komisarz wyborczy Marfiak Edward rozwiązuje komisję wyborczą bez żadnego powodu i sam przeprowadza wybory. Ogłasza wynik wyborów: głosów otrzymali Fijak 266, Haller 145. Rusin 34, a 6 głosów było nieważnych. Co i jak później się stało, nie wiadomo, dość, że teraz Fijak zamiast 266 ma ze Stryzawy tylko 66 głosów, a 200 głosów brakuje. Głosy te natomiast zostały doliczone Hallerowi*.⁴⁹

Ostatecznie w lipcu 1911 roku do Rady Państwa w Wiedniu wybrano 511 posłów na 516 mandatów. Czterech, w tym Daszyński, zostali wybrani w dwóch okręgach i mieli dwa mandaty, a jeden z wybranych, dr Löwenstin, złożył mandat. Do parlamentu weszło 120 posiadaczy ziemskich, 59 adwokatów i tyluż dziennikarzy i literatów. Patrząc na ten skład i pojawienie się po raz kolejny różnego rodzaju pieniaczy, tygodnik *Kikeriki* zaproponował, żeby obrady posłów przenieść do parku na Praterze, by były rozrywką dla gawiedzi⁵⁰. Co ciekawe, posłami zostało też 22 księży, jednak żaden z Galicji (w poprzedniej składzie było ich 6). Tę zmianę można tłumaczyć mocnymi wtedy ruchami antyklerykalnymi na polskiej wsi.⁵¹ Warto również przypomnieć, że ks. Londzin i dr Michejda, działacze narodowi z Cieszyna, w ramach protestu nie wstąpili do Koła Polskiego w Wiedniu. Ich postawa wynikała z faktu, że Koło Polskie popierało i wspierało austriacki rząd, a przedstawiciele tego rządu w terenie, szczególnie w zachodniej Galicji i na Śląsku Cieszyńskim, robili wszystko, aby utracić polskich kandydatów. Obszernie na ten temat pisał *Kurier Lwowski*, wskazując konkretne przykłady braku neutralności i bezstronności ze strony austriackich urzędników.⁵²

KRAJOBRAZ PO BITWIE

Po wyborach politycy zaczęli wracać do siebie. Maciej Fijak do Pietrzykowic. Ludwik Dobija, jako syn marnotrawny, na łono partii, a Stanisław Łazarski, mąż stanu, który wszedł do parlamentu w pierwszej turze, został zrzucony z funkcji prezesa Koła Polskiego w wiedeńskim parlamencie, bowiem uznano, że jego pozycja jest zbyt mocna, a on sam... za mało elastyczny. Ot, typowa polska logika!

Prasa zwracała uwagę na nikłe zainteresowanie wyborców sprawami społecznymi. *O apatii najlepiej świadczy to, że podczas prawyborów trafiały się wypadki, że w gminie zeszło się mniej prawyborców, niż miano wybrać kandydatów*.⁵³

Patrząc na wydarzenia sprzed wieku i porównując je z tymi, których nadal jesteśmy świadkami, można pokusić się o stwierdzenie, że w polityce niewiele się zmienia, mimo



W 1911 ROKU SATYRYCZNE PISMO DER FLOH (PCHŁA) KPIĘŁO NA POTĘGĘ Z PLAKATÓW WYBORCZYCH

upływu lat. Jednak uogólnienia nie oddają pełnego obrazu, a o tym, kto ostatecznie będzie reprezentować nas we władzach, decydujemy my sami, przy urnach. Politycy, jakkolwiek brzmi to nieprzyjemnie, odzwierciedlają bowiem całe społeczeństwo – i o tym musimy pamiętać.

⁴⁷ *Czas* nr 318, 16.07.1911, s. 1.

⁴⁸ Por. *Kurier Lwowski* nr 306, 8.07.1911, s. 1.

⁴⁹ *Wieniec i Pszczółka* nr 28, 9.07.1911, s. 397.

⁵⁰ *Kikeriki* nr 59, 23.07.1911, s. 8.

⁵¹ Por. *Czas* nr 316, 15.07.1911, s. 1.

⁵² Por. *Kurier Lwowski* nr 296, 2.07.1911, s. 1.

⁵³ *Dziennik Cieszyński* nr 287 z 15.12.1911, s. 1.

JACEK KACHEL

Historyk, dziennikarz, fotograf. Sekretarz w Bielsko-Bialskim Towarzystwie Historycznym i członek Towarzystwa Naukowego Żywieckiego. Do tej pory opublikował 13 książek. Na koncie ma także dwie samodzielne wystawy fotograficzne w Polsce i jedną wspólną w Wolsburgu.

W 2012 roku uzyskał stypendium marszałka województwa śląskiego w dziedzinie kultury i w ramach tego projektu powstała jego książka – „Być kobietą. Sto lat temu na Śląsku Austriackim i w Galicji”, wydana przez Wydawnictwo Żyvia.



JAK SIĘ STARZEJEMY

NA DŁUGIE ŻYCIE TRZEBA ZAPRACOWAĆ W MŁODOŚCI

POSTĘP MEDYCyny I ROZWÓJ TECHNOLOGII PRZYCZYNIŁY SIĘ DO WYDŁUŻENIA ŚREDNIEJ ŻYCIA. ZRODZIŁO TO JEDNAK NOWE PROBLEMY ZWIĄZANE Z NATURALNYM PROCESEM STARZENIA SIĘ ORGANIZMU. CHOCIAŻ TEGO PROCESU NIE MOŻNA ZATRZYMAĆ, WIELE JEGO OBJAWÓW DA SIĘ ZŁAGODZIĆ, A PRZEZ TO POPRAWIĆ JAKOŚĆ ŻYCIA.

Oznaki dojrzałego wieku szybciej widać, niestety, u kobiet. Starzeją się prędzej, a zmarszczki nie dodają im uroku. Mężczyźni wchodzący w słuszny wiek mają o wiele mniej powodów do zmartwienia. Przybywanie kolejnych krzyżyków w ich przypadku nie zawsze równoznaczne jest z uszczerbkiem na wyglądzie. Powinno być odwrotnie, bo dla kobiet uroda istotna jest w każdym wieku, ale do kogo mieć pretensje? Dzieje się tak ze względu na biologiczne różnice budowy mężczyzn i kobiet. Mężczyźni mają lepiej, bo są... gruboskórni. Skóra panów jest o 20% grubsza niż pań, co oznacza większą odporność na oddziaływanie promieni słonecznych i innych czynników, mających wpływ na wygląd naskórka. Skóra panów nie tylko jest grubsza, ale także lepiej nawilżona i natłuszczona. W skórze kobiety znajduje się mniej gruczołów potnych i łojowych, przez co tkanka ulega szybszemu niszczeniu. Warto wspomnieć o istotnej roli kolagenu i elastyny. Odpowiadają one za jędrność skóry, a co za tym idzie – również za brak zmarszczek. Zdaniem naukowców, skóra kobiet traci kolagen w znacznie szybszym tempie niż skóra mężczyzn, a zmarszczki u panów pojawiają się dopiero po 40. roku życia. I inaczej niż u kobiet – są to zawsze zmarszczki głębokie. Co jeszcze pozwala mężczyznom starzeć się godnie? Codzienne golenie! Pobudza ono krążenie skóry, co naturalnie poprawia jej kondycję. Pielęgnacja skóry pań, to przede wszystkim makijaż, który dla facetów jest zjawiskiem obcym.

ETAPY STARZENIA SIĘ

- **około 30. roku życia** rozpoczyna się utrata masy mięśni. W wieku 30 lat na otyłość cierpi 35% kobiet, w wieku 80 lat przeszło 50%. Ćwiczenia mogą opóźniać te zmiany. Pogarsza się też funkcjonowanie nerek, co może wpływać na zdolność przyswajania leków
- **około 35. roku życia** kości zaczynają szybciej tracić minerały niż je przyswajają, co prowadzi do osteoporozy. U kobiet utrata masy mięśni najszybciej postępuje w pierwszych latach po menopauzie
- **pomiędzy 40 i 50 rokiem życia** pojawiają się kłopoty z czytaniem
- **po 50.** u mężczyzn zaczyna spadać poziom testosteronu
- **około 60. roku życia** do czytania potrzeba trzy razy więcej światła niż w wieku dwudziestu lat. Następuje łagodne pogorszenie słuchu
- **po 60.** zaczyna spadać liczba komórek w rdzeniu kręgowym, co może pogorszyć zdolność odbierania bodźców. Na przykład słabiej odczuwamy wibracje
- **po 70.** obniża się zdolność rozróżniania szczegółów
- **po 80.** pogorszenie słuchu staje się poważniejsze



Ładny wygląd mężczyzn to jedynie zasługa rysów twarzy. Ale jak makijaż wpływa na proces starzenia? Zmienia właściwości skóry i wygląd twarzy, zmniejsza jej elastyczność. Wystarczy! Wszystko to sprawia, że starzejącym się kobietom trudniej pogodzić się ze swoim wiekiem i przemijaniem urody, a pieczołowite wykonanie makijażu w starszym wieku może okazać się czynnością trudną do wykonania. U panów nie pojawiają się przebarwienia, jasne brwi, rzadkie rzęsy. U nich głębokie zmarszczki uwydatniają charakter, a dojrzały wygląd pogłębia ten efekt. Nawet łysienie, właściwe jedynie panom, dodaje im męskości.

Pragniemy więc jak najdłużej być piękne i młode, stosujemy najróżniejsze kosmetyki (niektóre faktycznie mogą działać cuda), ale powiedzmy sobie prawdę – natury nie da się oszukać. Wraz z wiekiem skóra traci jędrność, elastyczność i od-

porność na urazy. Pojawiają się zmarszczki i nierówności. O zaawansowanym procesie starzenia świadczy też cera: sucha, matowa, o niejednorodnym kolorze, z przebarwieniami. Z czasem naskórek staje się cieńszy i bardziej szorstki, a proces odnowy komórek coraz wolniejszy. Skóra nie regeneruje się już tak szybko i łatwo. Oznakami starzenia są również kurze łapki wokół oczu i wyraźne worki pod oczami.

Włosy również mogą zdradzić, że się starzejemy. I nie chodzi tylko o pierwszy siwy włos, który wszystkie kobiety przypisują o zawał serca. Włosy siwieją, kiedy zmniejsza się aktywność melanocytów, które są odpowiedzialne za produkcję melaniny, barwnika odpowiedzialnego za kolor. Jego niedostateczna ilość sprawia, że włos wydaje się siwy. Gdy się starzejemy, włosy stają się cienkie, wrażliwe, zniszczone, tracą blask i zaczynają wypadać. Spada również wydajność mieszków włosowych. Włosy, które się starzeją, rosną znacznie wolniej, są także mniej odporne na niewłaściwą pielęgnację.

O tym, że się starzejemy, przypomni nam również ciało, przede wszystkim piersi. Stają się obwisłe, tracą kształt, skóra na nich staje się mniej elastyczna. Z wiekiem nie tylko skóra piersi, ale i skóra w ogóle traci jędrność. Skóra staje się sucha, podatna na „gniecenie się”, a potem powstawanie zmarszczek. Dlatego tak ważna jest pielęgnacja ciała.

Nie tylko ciało się starzeje. Umysł zaczyna się starzeć już po 27. roku życia. Wtedy zaczyna się zmniejszać liczba komórek nerwowych w mózgu. Osoby starzejące się coraz gorzej radzą sobie z rozwiązywaniem zadań, kojarzeniem faktów, mają coraz gorszą koncentrację. Kolejny sygnał starzejącego się mózgu, to gorsza pamięć.

Jak więc widzimy, dożycie setki w dobrym zdrowiu wcale nie jest łatwe. To bardzo wysoko postawiona poprzeczka. Pociągające jest jedynie to, że w grupie osób żyjących ponad 95 lat aż 70% stanowią kobiety. W Polsce cały czas mamy do czynienia z nadumieralnością mężczyzn. Receptą na poprawę tej sytuacji jest... edukacja. W społeczeństwach mających wyższy poziom wykształcenia ludzie dłużej żyją, ponieważ wiedzą, jak zachować zdrowie i dobrą kondycję. W walce z nadwagą, otyłością i przyspieszonym starzeniem się najlepiej sprawdza się metoda „3 x 30”: trzy razy w tygodniu co najmniej 30 minut sportu. Chodzi o przeciążenie mięśni i przyspieszenie akcji serca. Nasz organizm wytwarza wtedy substancje, których nie dostarczy żaden substytut diety. Obniżają one poziom cukru i cholesterolu, zmniejszają ból, poprawiają pamięć i wpływają na regenerację mózgu. Zatem – ruszajmy się! Na dobrą i długą starość trzeba solidnie zapracować w młodości.

EDMUND GÓRSKI

CO NAM NIEDOMAGA

SERCE

Ściany serca i arterii stają się grubsze i mniej elastyczne, co może zwiększyć ciśnienie krwi i zmusić serce do większego wysiłku. Wraz z wiekiem grubieją też zastawki, w tym zastawka pnia płucnego, która przepuszcza krew do płuc w celu nasycenia jej tlenem. W komorach grubsze ściany zmniejszają ich objętość; jest to szczególnie widoczne w lewej komorze, która pod dużym ciśnieniem pompuje natlenioną krew do organizmu. Spada pojemność serca, toteż mniej tlenu dociera do organizmu, starsze osoby wolniej likwidują stres powstały w wyniku ćwiczeń lub choroby. Zająć fizyczne mogą jednak poprawić pracę serca.

OCZY

Wraz z wiekiem soczewki stają się mniej elastyczne i trudniej zmieniają kształt w przypadku patrzenia na bliskie przedmioty. Soczewki również gęstnieją, przez co pogarsza się widoczność przy słabym świetle. Wolniejsza jest też reakcja na zmiany światła. Prawidłowa, czysta soczewka zapewnia właściwe ogniskowanie obrazów, natomiast starzejąca się może ulec zmętnieniu (zaćma).

MÓZG

Zmiany w systemie przekazywania informacji w mózgu mogą wydłużyć czas reakcji i pogorszyć pamięć krótkotrwałą. Natomiast zasób słów powiększa się aż do osiemdziesiąciu paru lat. Sugeruje to złożoność procesów poznawczych.

KOŚCI I STAWY

Kości tracą gęstość, szczególnie u kobiet po menopauzie, chrząstka w stawach zanika (wraz z wiekiem ochronna warstwa, zapewniająca gładkie przesuwanie się kości w stawie, ulega odwodnieniu i ściera się; chrząstka się nie regeneru-

je), więzadła łączące kości stają się mniej elastyczne. W czasie ruchu narasta ból, rośnie ryzyko urazu. Szczególnie ważne jest dostarczanie w młodości organizmowi odpowiedniej ilości wapnia, ponieważ zdolność przyswajania minerałów budujących kości maleje z wiekiem; zalecane są ćwiczenia z obciążeniem.

USZY

Utrata zakończeń włókien nerwowych i degradacja struktury ucha prowadzą do gorszego słyszenia dźwięków o wysokiej tonacji. Ponieważ spółgłoski, ułatwiające identyfikowanie słów, mają zwykle wyższą tonację niż samogłoski, starsi odbierają mowę innych osób jako mamrotanie. Komórki o grubości włosa drgają i wytwarzają sygnały, które są przenoszone do nerwu ślimakowego i dalej do mózgu. Wraz z wiekiem zmniejsza się liczba tych komórek.

MIĘŚNIE

Spadek liczby włókien mięśniowych, przypuszczalnie z powodu niższego poziomu hormonów, i wolniejsze kurczenie się mięśni powodują utratę siły. Ta utrata siły w połączeniu ze zmianami w układzie kostnym może wpływać na sprawność ruchową i zdolność do wykonywania podstawowych czynności. Trening siłowy może spowolnić lub zatrzymać utratę mięśni.

SKÓRA

W wyniku procesu starzenia skóra staje się cieńsza, mniej elastyczna i bardziej pomarszczona. Większość znamion, plamy, żółknięcia, stwardnienia są wynikiem długotrwałej ekspozycji na słońce. Można ograniczyć starzenie się skóry poprzez właściwą dietę, unikanie długotrwałego pobytu na słońcu (kremy z filtrem UV) i nawodnienie.



GALA POD SZYNDZIELNIĄ

Pięknych dziewczyn, zachwycających urodą i sylwetką, nie brakowało na tej imprezie. Zarówno na wybiegu, jak i wśród publiczności. Prestiżową galę The Look Of The Year 2013 Województwa Śląskiego po raz pierwszy, ale na pewno nie ostatni, zorganizowała w Bielsku-Białej w połowie marca Edyta Dwornik, właścicielka agencji AM Prestige. Prowadził ją Bożydar Iwanow z Telewizji Polsat. Impreza z udziałem około 400 osób odbyła się w Kameliowym Zakątku pod Szyndzielnią, miejscu gościnnym i znakomicie dostosowanym do tego typu spotkań. O tytuł walczyło 15 kandydatek z całego regionu. Dziewczyny zaprezentowały się m.in. w kolekcjach Natashy Pavluchenko, Wojtki Haratyka i Mr. GUGU & Miss GO. – Nasza agencja zorganizowała The Look Of The Year w Bielsku-Białej w formie pokazu mody, w kreacjach najlepszych polskich projektantów. Wierzimy, że w ten sposób któreś z modelek otworzymy furtkę do światowej kariery. Przypomnę, że w 2010 roku międzynarodowy finał wygrała Karolina Mikołajczyk z Warszawy, a w 2012 roku za najlepszą modelkę uznano Angelę Lipę z Krasnegostawu. Może ten rok będzie szczęśliwy dla dziewczyn ze Śląska? Trzymamy kciuki – powiedziała magazynowi *Lady's Club* główna organizatorka, Edyta Dwornik z AM Prestige.

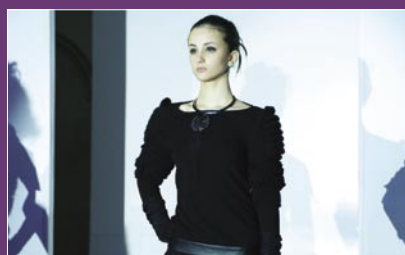
W tym roku mija 30 lat istnienia konkursów The Look Of The Year / Elite Model Look. W 1983 roku John Casablancas, założyciel światowej agencji modelek Elite,

zorganizował w Nowym Jorku pierwszy międzynarodowy konkurs selekcyjny i promujący nowe twarze w świecie modelingu. Dzisiaj w konkursach uczestniczy ponad 55 krajów. Zdobywczyni tytułu The Look Of The Year otrzymuje kontrakt z agencją MP Models w Mediolanie. W minionych latach z konkursem związane były takie modelki, jak Cindy Crawford, Alessandra Ambrosio, Linda Evangelista, Naomi Campbell, Gisele Bündchen czy nasza Kasia Smutniak.

W bielskiej edycji The Look Of The Year pierwsze miejsce zajęła 16-letnia Karina Nowak z Żor (wzrost 180, biust-talia-biodra 86/61/87). Tuż za nią na podium znalazła się Agnieszka Wiese, 20-latką z Gliwic (176, 86/63/90), a na trzecim miejscu uplasowała się Patrycja Bilof, 19-latką z Bielska-Białej (176, 89/64/90). Miss Foto została Maja Janoszek, Miss Publiczności Patrycja Bilof, a Miss Internetu Karolina Stefanowicz. Finalistki regionalne wezmą udział w tegorocznym ogólnopolskim konkursie The Look Of The Year. Dzikie karty (możliwość startowania w półfinałach) przypadły w udziale Magdalenie Borodenko i Magdalenie Zarębie z Bielska-Białej. W jury zasiadali m.in. Natasha Pavluchenko, Klaudiusz Sevkowicz, Ireneusz Bieleninik, przedstawiciele The Look Of The Year Polska, reprezentanci świata mody i biznesu. Gościnnie wystąpili piosenkarka Daria Zawiałow, uczestniczka programu X Factor, i tancerze ze Szkoły Tańca Cubana.



ZDJĘCIA: MAGDALENA OSTROWICKA



PRZYPADEK HANSENA

ALDONA LIKUS-CANNON

IM DŁUŻEJ MIESZKAM W MONACHIUM, TYM MNIEJ RZECZY MNIE DZIWI. CHOĆ NIE ZAPRZECZĘ, ŻE CIĄGŁE ZDARZA SIĘ COŚ, CO WPRAWIA MNIE W OSŁUPIENIE. NAWET FAKT, ŻE WIELU POLAKÓW MÓWI DO DZIECI PO NIEMIECKU, CHCĄC ZA WSZELKĄ CENĘ UDOWODNIĆ SWOJĄ „NIEMIECKOŚĆ”, NIE ROBI JUŻ NA MNIE ŻADNEGO WRAŻENIA. JEDNAK GDY KTOŚ, KOGO DŁUGO ZNAM I KOGO PODZIWIAM, REPREZENTUJE SKRAJNIE RÓŻNE PODEJŚCIE DO WYCHOWANIA DZIECI NIŻ JA, TEN FAKT DAJE MI WIELE DO MYŚLENIA. A TAKIM KIMŚ JEST ANIA.



Poznałam ją parę lat temu, lecz nigdy bliżej, aż do dnia, gdy zaproponowała, żeby nasze dzieci spotkały się. Zaprosiła nas do siebie. Nie zapomnę zaskoczenia jej synka, gdy zwróciłam się do niego po polsku. Popatrzył na mnie, jak na kogoś z innej planety i nie odpowiedział ani słowa.

– On nie rozumie – wyjaśniła pośpiesznie Ania, widząc moje zakłopotanie. – Nie umie? – poprawiłam ją, mając na myśli język polski. – Nie. Nie rozumie – uśmiechnęła się, upierając przy swoim. – Dlaczego? – zdziwiłam się, przyzwyczajona, że często polskie dzieci nie mówią po polsku, ale bardzo dobrze rozumieją. – Tak jest dla niego lepiej – odparła poważnie.

Gdy zapytałam, dlaczego tak jest lepiej, opowiedziała o swoim trudnym dzieciństwie w Polsce, biedzie i przeżyciach nie do pozazdroszczenia. Ostatni raz była w kraju na pogrzebie matki i nie ma najmniejszego zamiaru wracać. – I po co ja tam pojadę? Nie mam ani do kogo, ani po co – stwierdziła. – Tutaj mieszka ojciec mojego dziecka, tutaj jest moja przyszłość. Lepiej dla Floriana, jak będzie dobrze mówił po niemiecku. Szybciej zaaklimatyzuje się w szkole, a i w życiu będzie mu łatwiej – wyartykułowała stanowczo.

– To jesteś typowym przypadkiem Hansena i może dotknąć cię problem trzeciej generacji, jak już będziesz babcią – żartowałam, chcąc wybrnąć z kłopotliwej sytuacji.

Problem powrotu trzeciej generacji został sformułowany przez Marcusa Lee Hansena, który w latach 30. ubiegłego stulecia badał zachowania pierwszych emigrantów w Ameryce. Wyniki jego badań nadal wydają się jednak aktualne

i często porównywane są do współczesnej emigracji w Europie. Hansen zauważył, że dzieci przybyszów, a często i sami przybysze, bez względu na to, z jakiego kraju pochodzili, uciekali od swojej narodowości, chcąc za wszelką cenę udowodnić swoją „amerykańskość”. Nie posługiwali się językiem ojczystym, starali się go nie używać, a nawet nie przyznawali się do jego znajomości. Tak było też z Polakami, którzy zaczynali nowe życie przeważnie od zera. Częstokroć musieli przyjmować najgorszą pracę, za najniższe wynagrodzenie. Za jedną z dróg ułatwiających po-

prawę statusu uważali więc zerwanie z polskością i jak najszybszą asymilację. Większość też – właśnie z tego powodu – decydowała się na zmianę nazwiska.

Prawo Hansena zwane jest prawem powrotu trzeciej generacji, czyli procesem przechodzenia z jednej grupy narodowej do drugiej oraz ponownego poszukiwania swoich korzeni. Mówi, że dopiero kolejne pokolenia, zazwyczaj wnuki i prawnuki emigrantów, cieszący się już dobrymi warunkami życia i dzięki temu czujący się pewnie w nowym otoczeniu, zaczynają szukać korzeni, porządkują rodzinne historie i częściowo wracają do narodowej tożsamości.

Emigracja współczesna jest inna od tej z początku ubiegłego stulecia, lecz ma też swoje podobieństwa. Tak jak kiedyś motywowana jest w większości warunkami ekonomicznymi, fatalną sytuacją gospodarczą we własnym kraju, a więc pragnieniem zapewnienia lepszego bytu nie tylko sobie, ale i dzieciom. Prawo Hansena pomaga zrozumieć zachowanie niektórych emigrantów, w tym mojej znajomej Ani, bo jak dowiodły badania, ucieczka od własnej narodowości to ucieczka nie tylko od języka i korzeni, ale przede wszystkim od złych wspomnień i biedy.

Warto zatem znać źródła tego zjawiska i nie dziwić się, gdy dorośli albo ich dzieci nie będą rozmawiać po polsku, natomiast wnuki i prawnuki niespodziewanie zapiszą się na lekcje polskiego i będą dumni z korzeni dziadków, bo jak napisał William Somerset Maugham, „każde pokolenie podśmiewa się z ojców, wyśmiewa dziadków i podziwia pradziadków”.

Źródło: Moje Miasto, Monachium, www.mm-gazeta.de

KATOWICE

CUDOWNE METAMORFOZY

Dzięki Dress for Success Poland przeżyłam wyjątkowy dzień! Metamorfozy, jakie dla nas, beneficjentek, przygotowała Dorota Stasikowska-Woźniak, dyrektorka stowarzyszenia, przeszły moje najśmielsze oczekiwania. Sesja trwała prawie 10 godzin. Pierwsze zdjęcia robione były 8 i 9 maja w Katowicach. Miałam przyjemność uczestniczyć w akcji drugiego dnia. Powstaje poradnik dla kobiet „W sukience do sukcesu”. W nakładzie 10 tys. egzemplarzy i formacie A4 ukaże się w październiku. Ekipa, która pracowała nad naszymi wizerunkami to wizażystka Wioletta Uzarówicz, fryzjerzy z Akademii Berendowicz & Kublin, fotograf Marcin Gorgolewski i modelki, czyli my, beneficjentki Dress for Success Poland.

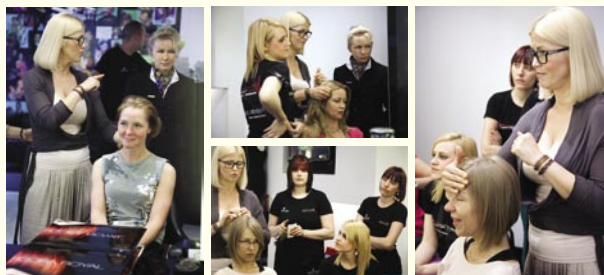
Wszystko zaczęło się od spotkania w siedzibie stowarzyszenia w Katowicach. Najpierw w zaaranżowanym studiu Marcin Gorgolewski fotografował nas przed zmianami. Następnie przeszliśmy do salonu Berendowicz & Kublin, gdzie pod czujnym okiem Beaty Berendowicz przemieniono nasze włosy i fryzury. Było farbowanie, strzyżenie, prostowanie, podkręcanie, a wszystko w cudownej atmosferze i przy pełnym zrozumieniu naszych wątpliwości i obaw. Po zmianie uczesań wróciliśmy do siedziby Dress for Success Poland, gdzie wpadliśmy w ręce Wioli Uzarówicz, która malowała na naszych twarzach niczym malarz na płótnie, chociaż, jak się śmiałyśmy, płótno tyle nie grymasi. Spod ręki Wioletty wychodziłyśmy gruntownie odmienione! Przeglądałyśmy się w lustrze, nie wierząc, że to możliwe. Następnie przeszliśmy z powrotem na plan zdjęciowy, już zdecydowanie śmieiej. W końcu odmieniliśmy się, nie tylko wizerunkowo. Marcin wykonał nam profesjonalną sesję w studiu i plenerze. Efekty tej sesji zobaczycie w książce „W sukience do sukcesu”. Okazuje się, że każda kobieta jest piękna, tylko czasem trzeba to piękno wydobyć, zobaczyć i uwierzyć!

Dla mnie najciekawszym doświadczeniem była sesja w plenerze. Pojawiałam się na głównej ulicy Katowic i szłam śmiało w butach na obcasie i sukience bordo od Prady, którą otrzymałam od Dress for Success Poland, niczym przyszła Top Model. I było cudownie! To uczucie nie do opowiedzenia!

MARTA DZIEKAŃSKA



AUTORKI METAMORFOZ: DOROTA STASIKOWSKA-WOŹNIAK, BEATA BERENDOWICZ I WIOLETTA UZAROWICZ



BENEFICJENTKI DRESS FOR SUCCESS POLAND W SALONIE BERENDOWICZ & KUBLIN W KATOWICACH. EFEKTY ICH ZEWNĘTRZNEJ I WEWNĘTRZNEJ PRZEMIANY BĘDZIE MOŻNA ZOBACZYĆ ZA KILKA MIESIĘCY W ALBUMIE



FOT. MARCIN GORGOLEWSKI

A OTO EFEKT KOŃCOWY. NA ZDJĘCIACH ANIELA STĘPIEŃ ZE ŚWIĘTOCHŁOWIC PRZED I PO METAMORFOZIE. REWELACYJNA PRZEMIANA! GRATULUJEMY!

KATOWICE

PROJEKTANTKI PRZYSZŁOŚCI

Wsiedzibie Dress for Success Poland w Katowicach odbyło się niedawno szkolenie „Projektantki przyszłości, czyli jak zaplanować swój sukces”, prowadzone przez Edytę Wąleciak-Skórkę, trenera biznesu i rozwoju osobistego, właścicielkę firmy szkoleniowej Wyższy Poziom, a także dyrektorkę ds.

wolontariatu w stowarzyszeniu Dress for Success Poland, które pomaga kobietom bezrobotnym w odnalezieniu się na rynku pracy. W pierwszym dniu uczestniczki tworzyły własną mapę marzeń. W drugim dniu przeformowały marzenia w cele, zgodnie z koncepcją Smarter, i stworzyły indywidualny plan



UCZESTNICZKI WARSZTATÓW DRESS FOR SUCCESS POLAND W KATOWICACH; W ŚRODKU WOLONTARIUSZKA EDYTA WALĘCIAK-SKÓRKA

FOT. KRZYSZTOF SKÓRKA

ich realizacji. W trzecim dniu dowiedziały się, jak wykorzystywać siłę umysłu, by osiągać to, co pragną. Poznały słownictwo sukcesu, znaczenie pytań, zgłębiły tajemnice realizacji marzeń. Panie włożyły w zajęcia mnóstwo pracy. Każda otrzymała solidną wiedzę i narzędzia do realizacji życiowych planów.

A co uczestniczki powiedziały o szkoleniu?

Basia: – Warsztaty były dla mnie wartościowym doświadczeniem. Zajęcia stały się nie tylko okazją do zdobycia nowych umiejętności, pogłębienia wiary w siebie, ale także stanowiły świetny sposób spędzenia czasu wśród innych kobiet.

Karolina: – „Projektantki przyszłości” to czas niezwykle wartościowej wiedzy i świetnej zabawy. Szkolenie uświadomiło mi, że kobiety, ich cele i przekonania, mogą być różne, ale energia tylko jedna, pozytywna.

KATOWICE

POMYŚLNY ROK

W poniedziałek 6 maja w siedzibie stowarzyszenia przy ul. 3 Maja 36 w Katowicach (od tego roku organizacji pożytku publicznego) odbyło się Walne Zgromadzenie Dress for Success Poland. Magazyn *Lady's Club*, stały partner działań organizacji, był obecny na tym zebraniu. Otworzyła je i prowadziła dyrektorka Dress for Success Poland, Dorota Stasikowska-Woźniak. Miło nam poinformować, że stowarzyszenie zakończyło miniony rok bardzo dobrym wynikiem finansowym. Nadwyżka (ponieważ jest to organizacja non profit) przeznaczona zostanie na działalność statutową, czyli pomaganie kobietom defaworyzowanym na rynku pracy.



SPOTKANIE OTWORZYŁA DOROTA STASIKOWSKA-WOŹNIAK



WOLONTARIUSZKI Z OŻYWIENIEM DYSKUTOWAŁY O PLANACH ORGANIZACJI I KONTAKTACH Z CENTRALĄ DRESS FOR SUCCESS W NOWYM JORKU

TYCHY, OLKUSZ

PRACA I MACIERZYŃSTWO

Mija 15 lat od sprowadzenia do Polski wymyślonej przez Helen Doron metody Early English. Na świecie 85% osób posiadających licencję Helen Doron to kobiety, a w Polsce ów odsetek przekracza 90%. Właścicielki franczyzy dają zatrudnienie kolejnym paniom: lektorkom, pracownikom biur i sekretariatów. Na pomysł sprowadzenia tej unikalnej metody nauczania do Polski wpadła anglistka Joanna Cesarz-Zbroszczyk. Gdy w 1998 otwierała w Tychach pierwsze w kraju Centrum Helen Doron, nie dawano jej większych szans na sukces. Tymczasem 5 lat później do rozwijającej się



SPOTKANIE TYSKIE ODBYŁO SIĘ W NOWOCZESNYM CENTRUM BALBINA



JOLANTA CZECH, JULITA BŁOŃSKA-CHARCHUT
I PROF. ELŻBIETA GÓRNIKOWSKA-ZWOLAK



LADY'S CLUB I DRESS FOR SUCCESS POLAND
PATRONOWALI MARCOWEJ IMPREZIE



WOŁONTARIUSZKA EDYTA WAŁĘCIAK-SKÓRKA
NA KONFERENCJI W OLKUSZU

sieci szkół chodziło już ponad 10 tys. dzieci. Obecnie do 200 szkół Helen Doron zapisanych jest 26 tys. dzieci.

15-lecie metody Helen Doron w Polsce uczczone zostało cyklem konferencji „Między pracą a macierzyństwem”. Pokazały one wiele przykładów łączenia rozwoju zawodowego z rodzicielstwem. Konferencje odbyły się w Tychach, Katowicach, Chorzowie, Mikołowie, Cieszynie, Chrzanowie, Jastrzębiu-Zdroju i Olkuszu. Helen Doron uświetniła rozwój swoich szkół w Pol-

sce wizytą w Warszawie (8 marca). W czasie dwóch konferencji w Tychach i Olkuszu, współorganizowanych przez Dress for Success Poland, wolontariuszki stowarzyszenia, Jolanta Czech i Edyta Wałęciak-Skórka, miały okazję wystąpić w prelekcjach „Na nową drogę – sukienka w kilku odsłonach”. Przedstawiły genezę powstania Dress for Success, misję organizacji i idee, jakie przyświecają ochotniczkom wspierającym kobiety bezrobotne w próbach odnalezienia się na rynku pracy.

ZABRZE

WYSPA KOBIET

W maju po raz trzeci panie z Zabrze uczestniczyły w spotkaniu nazwanym Wyspą Kobiet, przeznaczonym tylko dla płci pięknej. To projekt skierowany do tych kobiet, które nie boją się zmian w życiu i nowych wyzwań. Pomysłodawczynią była Jolanta Maria Budniak (dziennikarka), która z Marią Miszczak (producentką telewizyjną) wciąż udoskonalają ideę, żeby uczestniczki były zadowolone i chciały nadal się spotykać. Tym razem tematem przewodnim była filozofia wiecznej młodości. Gościem była dyrektorka Dress for Success Poland, Dorota Stasikowska-Woźniak. Panie rozmawiały o tajnikach kobiecej młodości. Jakie



SPOTKANIE ODBYŁO SIĘ W GOSPODZIE PRZY KĄPIELISKU LEŚNYM.
MICHAŁ LOSKOT ROZMAWIA Z DOROTĄ STASIKOWSKĄ-WOŹNIAK

sekrety kryją się za tym, że mimo upływu lat wyglądają wciąż kwitnąco? Czy tajemnica tkwi w umyśle, sprawności fizycznej, pogodzie ducha, odpowiedniej diecie? Wyspie Kobiet towarzyszą liczne atrakcje: pokazy mody, makijażu, wizażu, bielizny damskiej, porady dietetyczki i stomatolożki.

BIELSKO-BIAŁA

LUNITA DLA KOBIET

W wtorek 28 maja powstała grupa założycielska miejscowego oddziału Dress for Success Poland w Bielsku-Białej. Stało się to w czasie w czasie Śniadania Biznesowego, organizowanego co dwa tygodnie w restauracji Lunita przez fundację o tej samej nazwie. Inicjatorką założenia bielskiej grupy stowarzyszenia była wolontariuszka Sylwia Szczęsny, miłośniczka sztuki i finansistka, od kilku lat mieszkanka Bielska-Białej, która dostrzegła potrzebę organizowania skuteczniejszej pomocy kobietom długotrwale bezrobotnym z tego miasta we współpracy z innymi organizacjami pozarządowymi, samorządem i instytucjami rynku pracy. Ideę działalności Dress for Success Poland przedstawiła grupie założycielskiej dyrektorka stowarzyszenia, Dorota Stasikowska-Woźniak. Na świecie jest 113 filii tej amerykańskiej organizacji, polska jest jedyną w Europie Środkowo-Wschodniej. Jej misją jest działanie na rzecz niezależności finansowej kobiet pokrzywdzonych przez los i długotrwale bezrobotnych

przez zapewnienie im stroju do pracy, wsparcia i możliwości rozwoju zawodowego. Bielscy biznesmeni żywo interesowali się tą nową dla nich formą walki z bezrobociem kobiet.



SYLWIA SZCZĘSNY

FOT. KRZYSZTOF SKÓRKA



DRESS FOR SUCCESS®

Going Places. Going Strong.

POLAND

40-097 Katowice, ul. 3 Maja 36, II piętro

tel. 32 203 03 85, 32 253 02 24

poland@dressforsuccess.org

Jeżeli chcesz wesprzeć finansowo działalność **DRESS FOR SUCCESS**, możesz odpisać 1% swojego podatku na rzecz organizacji: **KRS 0000338193**.

Konto stowarzyszenia: **48 1160 2202 0000 0001 4884 6149**

PROBLEMY PSYCHOLOGICZNE I SEKSUALNE PAŃ 50+

MOŻESZ WSZYSTKO

To bodaj pierwsza na polskim rynku książka, nie traktująca kobiet 50+ jak nieporadnych seniorek, zagubionych w meandrach nowoczesności. Opowiadania i wywiady z ekspertami składają się na lekturę „Teraz mogę wszystko”, poświęconą kondycji psychicznej, zdrowotnej i seksualnej Polek po pięćdziesiątce.

Beata Znamirska-Soczawa podjęła próbę uzmysłowienia nam, że osiągnięcie 50. roku życia to nie koniec, a dopiero początek czegoś nowego. Otwarcie okresu, w którym – po spełnieniu się w wielu rolach, jakie stoją przed kobietą-matką i kobietą-pracownikiem – przychodzi czas dla siebie, czas spełniania się w roli własnej przyjaciółki, szukania nowych wyzwań, uczuć i emocji. Książka jest przesycona pozytywną energią, zachęca do intymnego spełniania się w późnych latach życia.

Beata Znamirska-Soczawa: – Mężczyźni, którzy przeczytali moją książkę, byli zaskoczeni, że bohaterki opowiadań tak bardzo potrzebują uczuć, zainteresowania i erotycznego spełnienia. Jeden z kolegów stwierdził, że nie wiedział, iż dla kobiet doj-

rzałych seks i miłość są tak ważne. Myślał, że jak już mają męża i dzieci, ich zainteresowanie tą sferą się kończy. W opowiadaniach moich rozmówczyń wyraźnie wyszła ta potrzeba. Potrzebujemy seksu i tyle. Ulegamy zauroczeniom, flirtujemy i zdradzamy. Chcemy, żeby ktoś nas dopieszczał, doceniał i często nam o tym mówił. Do pięćdziesiątki mu-

siałyśmy być ostoją dla tylu ludzi, że po pięćdziesiątce spokojnie dajemy sobie radę. I to jest przesłanie mojej książki: korzystajmy z życia, róbmy to, co sprawia nam przyjemność, pozwólmy się kochać i kochajmy, bo teraz możemy wszystko. Tylko my możemy sobie odebrać prawo do szczęścia. Lecz po co się tak karać? Książka składa się z trzech części: w pierwszej znalazło się 10 opowiadań napisanych na podstawie rozmów z 50 kobietami (i mężczyznami) dojrzałymi, o różnym statusie majątkowym i zawodowym, do których komentarze napisał psycholog dr Igor Pietkiewicz. Część druga zawiera poradnik w formie wywiadów ze znakomitymi fachowcami: seksuologiem i ginekologiem dr. Zbigniewem Liberem, ginekologiem i onkologiem prof. Anitą Olejek, psychologami prof. Katarzyną Popiołek i Kingą Tucholską, prof. Ewą Kozdroń, propagującą aktywizację ruchową kobiet dojrzałych oraz dyrektorką Dress for Success Poland Dorotą Stasikowską-Woźniak o wspieraniu kobiet bezrobotnych w powrocie na rynek pracy. Część trzecia to swoisty poradnik o tym, jak spojrzeć na dojrzałego partnera, napisany przez seksuologa dr. Zbigniewa Libera oraz kontrowersyjny manifest polskiego samca alfy, pokazujący męski punkt widzenia na kobiety i związki seksualne. Czytelnicy znajdą tam informacje o tym, jak zrozumieć dojrzałego partnera i dlaczego mężczyźni w pewnym wieku szukają kochanek, a jednocześnie niekoniecznie chcą się rozwodzić. Dodatkowo jest opowiadanie o zabarwieniu



erotycznym o małżeństwie mającym niekonwencjonalne podejście do seksu pozamałżeńskiego. Książka, co jest ewenementem na polskim rynku wydawniczym, ukazała się w czterech różnych okładkach.

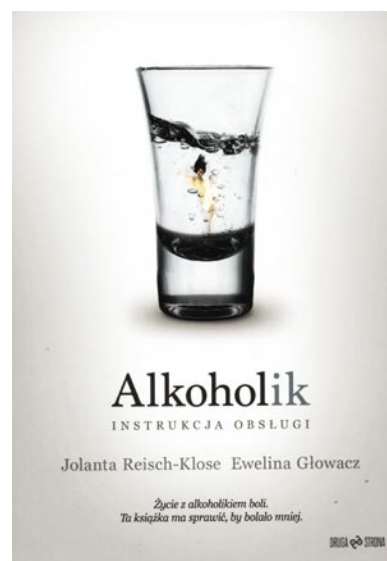
Beata Znamirska-Soczawa jest dziennikarką i reportażystką, absolwentką politologii na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Pracę rozpoczynała w „Sztandarze Młodych”, przez wiele lat pracowała w tygodniku „Przegląd”, a później kierowała portalem informacyjnym Telewizji Silesia. Obecnie współpracuje z TVP. Książka „Teraz mogę wszystko” jest jej pisarskim debiutem.

Beata Znamirska-Soczawa, „Teraz mogę wszystko”, Wydawnictwo Stapis – Stasikówka, Katowice 2013, stron 224

ALKOHOLIK. INSTRUKCJA OBSŁUGI

Nie jest grzechem kochać alkoholika – grzechem jest kochać go głupio i podtrzymywać jego uzależnienie. Książka Eweliny Głowacz i Jolanty Reisch-Klose z Bielska-Białej „Alkoholik. Instrukcja obsługi” przeznaczona jest dla współuzależnionych kobiet. Daje przykłady rozwiązań, pokazuje jak wybrnąć z trudnych sytuacji, ale w żadnym przypadku nie mówi, że będzie łatwo. Łatwo nie będzie, ale może być spokojniej. Jest to książka dla każdego, kto w mniejszym lub większym stopniu spotkał się z problemem uzależnienia. A takich ludzi jest w Polsce blisko 10 mln. Wielu z nas ma kogoś takiego w rodzinie lub wśród

znajomych. A co najważniejsze, jest to też książka o związkach, które potrzebują pomocy, bo tam, gdzie jest alkohol, pojawiają się problemy. Ta książka jest również dla osób samotnie, latami borykających się z problemem uzależnienia u swoich bliskich. By zobaczyć, że nie są same. Że inne/inni mają podobnie. Żeby też zrozumiały, że nikt



z nas nie jest na tyle mądry, żeby pokonać alkoholizm. Ani swój, ani tym bardziej kogoś innego. Ta książka nie zastępuje terapii. Ma zachęcać do jej podjęcia. „Możesz dalej kochać alkoholika i to nie musi tak boleć” – przekonują autorki.

Ewelina Głowacz (1974-2012), przedwcześnie zmarła psychoterapeutka systemowa, była certyfikowaną specjalistką terapii uzależnień. Absolwentką Uniwersytetu Śląskiego (Wydział Pedagogiki i Psychologii). Prowadziła w Bielsku-Białej, Żorach i Rybniku prywatny gabinet psychoterapii indywidualnej i małżeńskiej. Jolanta Reisch-Klose jest dziennikarką prasową i radiową, laureatką ogólnopolskich nagród branżowych, działaczką organizacji pozarządowych.

Ewelina Głowacz, Jolanta Reisch-Klose, „Alkoholik. Instrukcja obsługi”, Wydawnictwo IPS, Warszawa 2013, stron 271



W TOEI KYOTO STUDIO PARK MOŻNA PRZEBRAĆ SIĘ TAKŻE ZA GEJSZĘ;
AUTORKA REPORTAŻU PO PRAWEJ

ITY MOŻESZ ZOSTAĆ GEJSZĄ

JAPONIA MA WSZYSTKO TO, CO LUBI KAŻDY AKTYWNY TURYSTA – PRZEPIĘKNĄ PRZYRODĘ, MNÓSTWO CIEKAWYCH, HISTORYCZNYCH MIEJSC (CZĘŚĆ WPISANYCH NA LISTĘ ŚWIATOWEGO DZIEDZICTWA KULTUROWEGO I PRZYRODNICZEGO UNESCO), ZNAKOMICIE ZORGANIZOWANY TRANSPORT PUBLICZNY I MOŻLIWOŚĆ ŻYWIENIA SIĘ SPECJAŁAMI, KTÓRE MOŻNA NAZWAĆ FAST-FOODAMI TYLKO ZE WZGLĘDU NA SZYBKOŚĆ PODANIA. NIE MAJĄ ONE NIC WSPÓLNEGO Z HAMBURGERAMI I FRYTKAMI. SZCZERZE MÓWIĄC, POZA RYŻEM I ZIARENKAMI SEZAMU CZASAMI TRUDNO ODGADNAĆ, CO SIĘ JE. ALE NA PEWNO JEST TO ZDROWE I SMACZNE. I WBREW OBIEGOWYM OPINIOM – NIE PRÓBUJE UCIEKAĆ Z PAŁECZEK!

KORESPONDENCJA WŁASNA LADY'S CLUB Z JAPONII

Japonia powitała nas słońcem, błękitnym niebem i delikatną zielenią. W Polsce leżał jeszcze rozmiękły śnieg i nic, poza datą w kalendarzu, nie przypominało, że jest już wiosna. Na drugą półkulę, na szczęście, nie spóźniła się. Wiosna, obok jesieni, to pora roku, kiedy najprzyjemniej zwiedza się Kraj Wschodzącego Słońca. Kto jednak chce napawać się pięknem kwitnących wiśni, nie powinien zbyt długo zwlekać. W zależności od regionu kwitnienie może zacząć się nawet pod koniec marca, a kończy się mniej więcej w połowie kwietnia. Gdy u nas trwa weekend majowy, Japończycy mają swój Golden Week. W kraju, w którym mieszka ok. 125 mln ludzi, wiele osób bierze wtedy wolne, a to oznacza tłok. Podobnie bywa w okresie noworocznym i pod koniec sierpnia, gdy Japończycy obchodzą święto zmarłych i licznie podróżują na groby krewnych. Poza tym lato, dla nas zwyczajowy okres wakacyjny, tutaj jest nieznośnie gorące i wilgotne, a poprzedza je dokuczliwa pora deszczowa.

MIASTECZKO FILMOWE

Japonia to nie tylko zabytki i przyrodnicze atrakcje. To także ciekawe muzea, nowoczesne akwaria i duże parki rozrywki, jak Universal Studio czy Disneyland w Tokio, który w tym

roku obchodzi 30-lecie. Zdecydowanie bardziej w japońskim stylu jest jednak Toei Kyoto Studio Park, miasteczko filmowe pomiędzy Kioto a Osaką, w którym powstało wiele historycznych filmów. Miejsce to oferuje nie tylko możliwość spacerowania po uliczkach wystylizowanych na Japonię sprzed wieków. Można tam również przejść szkolenie ninja, co jest wspaniałą zabawą dla dzieci, zobaczyć pokazy sztuk walki oraz wystawę z postaciami i potworami z japoń-



WIŚNIOWY PARK MARUYAMA W KIOTO



JAPOŃCZYCY CELEBRUJĄ KWITNIENIE WIŚNI, UCZTUJĄC POD ICH GAŁĘZIAMI; W TLE ZAMEK HIMEJI

skich kreskówek. W Toei Kyoto Studio Park czekają także na chętnych charakteryzatory, którzy za stosowną opłatą przemienią każdego, nawet Europejczyka, od stóp po czubek głowy w samuraja lub gejszę. Przekonaliśmy się o tym na własnej skórze, po czym przez godzinę spacerowaliśmy w naszych kostiumach i perukach po filmowym miasteczku, budząc duże zaciekawienie wśród zwiedzających.

REWELACYJNE POCIĄGI

Z żalem pożegnaliśmy się z kimonami i sandałami na koturnach, by poznawać inne uroki Japonii. Na ulicach i parkingach rzuca się w oczy, że japońskie samochody często różnią się od tych znanych nam z Europy. Przede wszystkim mają niewielkie gabaryty i ścięte przody. Wszystko po to, by jak najlepiej wykorzystać ograniczoną przestrzeń do parkowania. Ta oszczędność miejsca to konieczność, gdyż większą część terytorium Japonii zajmują góry. Stąd tak duża koncentracja ludności w miastach na wybrzeżu. Sama aglomeracja tokijska liczy grubo ponad 30 mln mieszkańców. Wymusza to oczywiście określone zachowania i obyczaje. W Hiroszynie na przykład widziałam otwarty parking pod budynkiem mieszkalnym, za którym na niewielkim podwórku znajdował się... cmentarz! Normą jest, że nikt się nie popycha, wszyscy grzecznie czekają w kolejce do autobusu lub pociągu i spokojnie przepuszczają wysiadających. Komunikacja zbiorowa jest doskonale rozwinięta, więc wynajem samochodu mija się z celem. Dlatego od początku nastawiliśmy się na podróżowanie koleją. Japońskie superekspresy, zwane shinkansenami, nie należą już do najszybszych na świecie, niemniej jazda z prędkością 200-300 km/h (zależnie od typu składu), to w dalszym ciągu najwygodniejszy sposób przemieszczania się na duże odległości. I dosyć drogi. W Japonii istnieje nawet powiedzenie, że bogaci jeżdżą pociągami, podczas gdy biednych stać tylko na samoloty. Ale i na to jest sposób. Jeszcze w Europie zaopatrzyliśmy się w JR Passes (Japan Rail Passes), specjalne bilety dla turystów, uprawniające do przejazdów liniami kolei

państwowej, w tym niemal wszystkimi shinkansenami. Jest to znacznie tańsza opcja niż kupowanie za każdym razem osobnego biletu. Przez tydzień jeździliśmy więc pociągami w komfortowych warunkach, przemierzając setki kilometrów. Bez wstrząsów, rzucania na boki, z uśmiechniętą panią z obsługi, która sprzedawała napoje i przekąski.

Na dworcach mieliśmy okazję zaobserwować japońską samodyscyplinę, umiłowanie porządku i sprawnej organizacji. Nie chodzi tylko o czystość i brak graffiti. Wejścia do poszczególnych wagonów są dokładnie oznaczone na peronie, a pociąg staje przy nich co do milimetra. Na ruchomych schodach wszyscy stoją po jednej stronie, by zostawić przejście dla tych, którzy śpieszą się na inny pociąg. Pasażerowie spokojnie czekają w wyznaczonych miejscach. Mało kto ze sobą rozmawia, a tym bardziej zagaduje innych.



ZNAK CZASÓW, NAWET GEJSZE POTRZEBUJĄ TELEFONÓW KOMÓRKOWYCH



TOKYO SKYTREE TOWER TO NAJWYŻSZA WIEŻA TELEWIZYJNA NA ŚWIECIE



PIECZONE NA RUSZCIE OSTRYGI MOŻNA ZJEŚĆ Z SOSEM SOJOWYM LUB SOKIEM Z CYTRYNY



NIEWIELKI CMENTARZ NA PODWÓRKU MIĘDZY DOMAMI W HIROSZIMIE

ORIENTALNE POGAWĘDKI

Japończycy to jednak ludzie, którzy mają w sobie ukryte bogate pokłady poczucia humoru, serdeczności i ciekawości wobec innych ludzi. Cechy te ujawniają się przypadkiem, w najmniej oczekiwanych sytuacjach. Młodziś, która w samurajskich strojach pozowała z nami do zdjęć pod zamkiem w Himeji, machała do nas radośnie, gdy ponownie się na siebie natknęliśmy w okolicach dworca. Dwie starsze panie wybuchnęły serdecznym śmiechem przy podejściu na Mt. Misen, górę na świętej wyspie Miyajima. Przepuściły nas przodem, tacy byliśmy szybcy, a 5 minut później staliśmy z wywieszonymi językami i daliśmy się im przegonić. Przy przejściu dla pieszych zagadnął nas emeryt. Dobrą angielszczyzną zapytał, skąd jesteśmy i czy podoba nam się w Japonii. Gdy usłyszał „Poland”, po krótkim namyśle odpowiedział: „Warszawa”. I jeszcze wolontariusz, ten który w Narze oprowadził nas po świątyni uzdrawiającego Buddy i wyjaśnił znaczenie wszystkich stojących w niej posągów. Ale nic nie przebijie pewnej pani w kolejce do toalety, która zaczęła ze mną pogawędkę... po japońsku, zupełnie nie przejmując się moją niezajomością tego języka. Dopiero po słowie „Americano?”, zrozumiałam, że zapytała o narodowość. Polskę skojarzyła z Auschwitz i dalej radośnie ze mną konwersowała.

Przykra sytuacja spotkała nas tylko raz. Nie wpuszczono nas do restauracji, rzekomo z braku miejsc, które było widać przez okno i drzwi wejściowe. Młody człowiek wiał się z zaskakującego, gdy próbował nam to przekazać swoim szczątkowym angielskim. Podejrzewam, że właśnie brak biegłości językowej był powodem takiego zachowania. Mało który Japończyk potrafi posługiwać się angielskim w stopniu komunikatywnym. Wśród nich trafiają się i tacy, dla których obcokrajowiec, z którym nie mogą się porozumieć, to wielki kłopot, więc najlepiej się go pozbyć. Niemile wrażenie złagodził fakt, że nie byliśmy pierwszymi osobami, które spotkały się z czymś takim w Kraju Kwitnącej Wiśni. Literatura podróżnicza podaje dość dużo przykładów.

Japonia zaczyna się jednak otwierać na świat. W czasie naszej wyprawy widzieliśmy rzesze zachodnich, chińskich, a nawet muzułmańskich turystów z południowej Azji, a także Hindusów. Cudzoziemcy nie wzbudzą więc sensacji ani zainteresowania. Chyba że potrzebują pomocy, na przykład przy pierwszej próbie zakupu w automacie z napojami (świetny wynalazek!). W parkach, zamkowych ogrodach, obok świątyń zawsze znalazł się ktoś, kto proponował zrobienie zdjęcia naszej trójce. A nawet podziękował w naszym imieniu innym turystom za to, że się cofnęli i nie weszli w kadr. Ta życzliwość jest jednym z moich najmielszych wspomnień z tej wycieczki.

WIEŻOWCE I ŚWIĄTYNIE

Zdumiewające jest również to, jak Japończykom udaje się pogodzić uroki przyrody z cywilizacyjnym rozmachem. Od zeszłego roku Tokyo Skytree Tower góruje nad stolicą kraju. To największa wieża telewizyjna na świecie, a pod względem wysokości druga co do wielkości budowla świata. Widok z jej okien zapiera dech. Betonowe wieżowce ciągną się niemal po horyzont, w którym kierunku by nie spojrzeć.



OKAZAŁA ŚWIĄTYNIA, JEDNA Z WIELU, W NARZE, PIERWSZEJ STOLICY JAPONII



WIDOK NA STOLICĘ Z TOKYO SKYTREE TOWER



W MIASTECZKU FILMOWYM MOŻNA PRZEJŚĆ SZKOLENIE NINJA



FOTKA NA TLE ŻŁOTEGO PAWILONU W KITO, BUDYNKU POKRYTEGO PŁATKAMI PRAWDZIWEGO ŻŁOTA



WIDOK NA MORZE WEWNĘTRZNE ZE SZCZYTU MT. MISEN



OSWOJONE JELENIE W NARZE CZEKAJĄ NA GŁASKANIE I PORCJĘ JELENICH CIASTECZEK



JAPOŃSKIE MALUCHY NIE JEŹDŻĄ W WÓZKACH, TYLKO SĄ NOSZONE



LOKOMOTYWA SHINKANSEN ROBI WRAŻENIE KSZTAŁTEM I OPEWOWĄ LINIĄ



PASAŻEROWIE NA PERONACH GRZECZNIE CZEKAJĄ W KOLEJCE NA POCIĄG

To specyfika japońskich metropolii. W natłoku budynków ujmuje każda próba uczynienia tej przestrzeni ładniejszej i przyjemniejszej dla oka. A to jakaś doniczka z kwiatkiem ustawiona na podejście lub w szczelinie między dwoma domami, czasem figurka przed drzwiami lub zabawna skrzynka na listy. Ogrody wokół zamków i świątyń są tak zaprojektowane, że łatwo zapomnieć, iż wokół znajduje się nowoczesne miasto. Najlepszym przykładem jest Nara, pierwsza stolica Japonii i pierwsza siedziba cesarskiego dworu. Jeden dzień to stanowczo za mało, by choćby zajrzeć do każdej świątyni w rozległym parku, stykającym się z pierwotnym lasem, w którym od 12 stuleci nie wolno polować ani prowadzić wycieczek. Można tam spotkać oswojone jelenie, które czasami natarczywie domagają się od przechodniów specjalnych jelenich ciasteczek. Nieuważni mogą stracić mapę lub gazetę wyrwaną z dłoni. Cóż zrobić, te jelenie to podobno wysłannicy bogów.

W świątyniach najmocniej odczuwałam kulturową odrębność. Nie wiedziałam, jak się w nich zachowywać, ani jak odczytywać ich symbolikę. W niektórych pośrodku stoi posąg Buddy, przed innymi są posądk zwierząt albo kamienne latarnie. Na szczęście zasady postępowania w tych miejscach nie są zbyt skomplikowane, zazwyczaj wiążą się ze zdjęciem butów i zakazem robienia zdjęć. Podpatrując miejscowych, uniknęliśmy naruszenia świętych reguł. Raz nawet zdecydowaliśmy się na zakup wróżby. Złą, zgodnie ze zwyczajem, przywiązaliśmy do gałęzi drzewka w świątyni, żeby się nie spełniła. Kolejną, już dobrą, zabraliśmy do Polski jako jedną z wielu pamiątek. Przypomina nam ona, że Japonia niejedno ma oblicze, a tydzień to za mało, by dobrze poznać w każdej z nich.

TEKST I ZDJEŃCIA
ANNA JURCZYK



NOTATNIK KOLUMBIJSKI

KORESPONDENCJA WŁASNA SPECJALNIE DLA *LADY'S CLUB*

PEWNEGO DNIA PRZYJACIÓŁKA POINFORMOWAŁA MNIE NA FACEBOOKU, ŻE SZUKA KOMPANA DO PODRÓŻY. KONKRETNIE DO KOLUMBII! DECYZJA MUSIAŁA BYĆ PODJĘTA SZYBKO, W CIĄGU 48 GODZIN. TYLE MNIEJ WIĘCEJ TRWAŁA PROMOCJA NA LOT DO BOGOTY LINIAMI LUFTHANSY. LUBIĘ TAKIE WYZWANIA. NA MIEJSCU ZAPLANOWALIŚMY POBYT U PRZYJACIÓŁ POLAKÓW. DODATKOWYM ATUTEM BYŁA MOŻLIWOŚĆ ZAMIESZKANIA NA DOŚĆ DUŻEJ WYSOKOŚCI. OD ROKU BIEGAM I PRZYGOTOWUJĘ SIĘ DO MARATONU W BERLINIE. TRENING NA WYSOKOŚCI JEST DLA DŁUGODYSTANSOWCA SZANSĄ NA POPRAWĘ WYNIKÓW. WIĘC LECIMY!

Wyłot z Okęcia do Frankfurtu. Bez niespodzianek. Obsługa pokładowa na bardzo wysokim poziomie. Śniadanko, kawa, napoje. Uśmiechy. Przylot do Frankfurtu o czasie. Spacer do bramki, przy której czeka Airbus A340. I kontrola graniczna. Układ z Schengen skutecznie odzwyczaił nas od tego typu „atrakcji”. Dopiero wylot poza kontynent oddaje komfort podróżowania po Europie. Na pokładzie samolotu do Bogoty mamy koce, poduszki, słuchawki do własnego systemu multimedialnego. I znowu uśmiechnięta obsługa pokładowa. Przed nami przeszło 10-godzinna podróż. O smaku i obfitości posiłków na pokładzie słyszałem już wcześniej. Gorący obiad, później kolacja, napoje w każdej ilości. To standard. Jesteśmy już nad Atlantykiem. Zarządzono leżakowanie. Proszę wszystkich o zasunięcie zasłon w oknach. Część pasażerów rozło-

żyła fotele i korzysta z koców i poduszek. Lądujemy z lekkim opóźnieniem na lotnisku El Dorado w Bogocie około godz. 20 miejscowego czasu. W Polsce środek nocy. Nazajutrz rozglądam się za miejscem do biegania. Bogota położona jest na wysokości 2.600 m n.p.m. Każdy biegacz wie, jak drogocenny jest taki trening. Mniejsza zawartość tlenu zmusza organizm do adaptacji, która po powrocie do Gliwic czy Warszawy zwraca się z nawiązką. Wrześniowy maraton motywuje dodatkowo.

Rekonesans w najbliższej okolicy. Założenia proste. Odnaleźć okoliczne sklepy, knajpy i miejsca do biegania. Mieszkamy w strefie szóstej, uznanej za bezpieczną. Wyżej jest tylko siódma, willowa, znacznie droższa. Słowo „bezpieczeństwo” ma tutaj specyficzne znaczenie. Na przykład ostentacyjne



AUTOR REPORTAŻU Z UROCZĄ KOLUMBIJKĄ PRZED MUZEUM ŻŁOTA

rozmawianie na ulicy przez drogą komórkę kończy się czasami nieoczekiwaną zmianą jej właściciela. Szef miasta podobno ma ogłosić, by mieszkańcy nie korzystali z drogich telefonów na ulicach. To znaczy chce powiedzieć, że się nie da nic zrobić ze złodziejstwem, więc machamy na to ręką. O bezpieczeństwie przypominają także zasieki na ogrodzeniach większości domostw. Niektóre podłączone do prądu. To lokalna norma, która u nas widoczna jest tylko w okolicach aresztów. W sprawach bezpieczeństwa zasady są proste. Nie nosimy cennych rzeczy na widoku. Nie wchodzimy w pewne rejony miasta. W Bogocie wycieczka człowieka z białą karnacją poniżej siódmej ulicy (Carrera 7) jest wyso-



MASKA Z CENNEGO KRUSZCU, KTÓREJ NIE ZDOŁALI UKRAŚĆ HISZPAŃSCY KONKWISTADORZY

ce niebezpieczna. Każdy biały to gringo, a gringo jest bogaty, więc można go okraść. Ale pal diabli niedogodności! Biegać przecież gdzieś trzeba. Okolice rzeczki malownicze i bezpieczne w ciągu dnia. Widziałem kilku truchających.

Krawężniki są wysokie, by ulice w czasie krótkich ulew na chwilę stawały się korytami dla wezbranej wody. Obniżenia dla niepełnosprawnych są jednak wszędzie.

Interesujący jest zwyczaj zatrzymywania miejskich autobusów machnięciem ręki. Podróżny nie musi stać przy krawędzi jezdni. Kierowcy mają niesamowity refleks i ogromny kąt widzenia. Koleś macha ręką pod sklepem, a za chwilę słychać pisk opon, autobus zatrzymuje ruch na całej szerokości dwupasmowej jezdni. Pasażer jest święty!

Owoców mnóstwo. Pogoda jak u nas na przełomie czerwca i lipca w Świnoujściu. Kto był, ten wie. Słońce prawie w zenicie. Człowiek musi się przyzwyczaić do braku własnego cienia.

Kawa doskonała. Na przystawkę do obiadu mango, papaya, granadinas, karambola i inne.

Trochę o taksówkach w Bogocie. Jest takie słynne wzgórze Monserrate. Wybraliśmy się taksówką, do dolnej stacji kolejki linowej, która zawozi turystów na szczyt. Taksówki w Bogocie są żółte i małe. Nie ma pasatów, mercedesów czy octavii. Są przeważnie wielkości matiza. Wcześniej myślałem, że wielkość taksówki jest uzasadniona ekonomicznie, auto mniej pali, tańsze części. Przekonałem się, że małe gabaryty mają znaczenie. Poczulem to natychmiast, gdy samochód ruszył. Jazda taksówką rozpoczyna się podobnie jak jazda autobusem, od machnięcia ręką. Podjechał jakiś matiz. W środku z głośników salsa. Taksówkarz, gdy dowiedział się, że jesteśmy z Europy, zmienił muzykę na niemieckie jodłowanie. Zaprotestowałem i rzuciłem: – *Latina music, por favor!* Na twarzy taksówkarza rogał pojawił się natychmiast. Rozpoczęła się szalona jazda. Kierowca, śpiewając, zmieniał pas co chwilę, wyprzedzał jadąc prawie po poboczu i na grubość lakieru, przy prędkości 80 km/h. W mieście! Jazda polegała na wykorzystywaniu każdej wolnej przestrzeni. W niektórych miejscach pasy namalowane są chyba tylko dla zasady.

Ekstremalnym przeżyciem był brak hamowania i jazda centralnie na bagażnik jakiegoś auta z natychmiastową zmianą pasa dosłownie w ostatniej chwili. Kolana odruchowo wbiłem w oparcie siedzenia kierowcy. On, ciągle śpiewając, wcisnął się przed jakieś inne auto. Kierowca za nami nie był tym manewrem oburzony. Nie zatrąbił. Tutaj trąbi się, by poinformować innych uczestników ruchu, że jest się w pobliżu, a nie po to, by kogoś zwyzywać, jak w Polsce. Po około 20 minutach dojechaliśmy. Licznik nad lusterkiem wskazywał tajemniczą liczbę 178. Kiedy zapytaliśmy, ile jesteśmy winni, kierowca wyjął tabelę w laminacie i odczytał, że 178 znaczy 12.500 \$, czyli około 22 zł. Jazda warta była każdego wydanego peso!

Panorama Bogoty z Monserrate oszałamiająca. Miasta w Andach zachwycają umiejętnością wkomponowania się w krajobraz. Ze względu na wysokość i pasmo górskie, na którym leży Bogota, trzeba się wstrzelić w ładną pogodę. Wjeżdżamy kolejką, gdy delikatnie padał deszcz. Po chwili mieliśmy na górze doskonałą słoneczną pogodę i świetny widok na miasto. Urzekające!

Wieczorem wizyta w Muzeum Złota. Legenda mówi, że w Kolumbii znajdowała się mityczna kraina złota zwana El Dorado. Nigdy nie odnaleziona przez konkwistadorów, którzy przez port w Cartagenie wywieźli ogromne ilości wyrobów z tego cennego kruszcu. Część ocalała i znalazła się w Muzeum Złota. Wstęp jedynie 3.000 peso, czyli niecałe 6 zł!

Na każdym kroku można spotkać Minutos, mobilne budki telefoniczne. Dowód na dostosowanie się rynku do lokalnych potrzeb. Kolumbijczycy mają telefony, ale wolą korzystać z tych specyficznych punktów. „Przedsiębiorca” wykupuje abonament u jednego z tutejszych telekomów. Odbiera telefon, po czym mocuje go do łańcuszka. Drugi koniec przyczepia do paska bądź tyczki, stając się... budką telefoniczną. Teraz pozostaje mu wydrukować kartkę A4 z napisem Minutos, cenę przymocować do tyczki i udać się w oblegane miejsce, by świadczyć usługi dla ludności. Proste?

Pierwsze bieganie. Czuję je w płucach. Siły brak, tempo kiepskie, ale swoje przebiec trzeba. Jest lekka zadyszka. Informuję, że Kolumbijczycy też biegają. Bogota niczym nie różni się pod tym względem od Warszawy czy Berlina, no może poza pogodą.

Po południu jedziemy do centrum na zakupy. Jest takie miejsce w okolicach placu Simona Bolívara, gdzie można znaleźć ciąg sklepów z pamiątkami. Zauważyłem silną specjalizację gospodarczą. Jeśli widzisz jakiś warsztat samochodowy, wiesz, że za nim jest kolejny i kolejny. Podobnie sprawa ma się z pamiątkami, odzieżą i wyposażeniem dla żołnierzy. To ciekawy widok. Zakup hełmu, gogli, noża czy stroju maskującego nie jest problemem. Wszystko w jednym miejscu w promieniu 50 metrów w kilkunastu sklepach. Żołnierz kolumbijski otrzymuje mundur w wersji standardowej, resztę, na przykład nakolannik z sakwami, pasy, koszulki kupuje sam. Używanie na co dzień bluzy w barwach maskujących jest zakazane, ale chyba nie egzekwowane. Kolumbia to kraj zmilitaryzowany. Moda wojskowa jest codziennością.

Znowu bieganie. Co niedzielę w Bogocie zamykają część ulic, by mieszkańcy mogli pojeździć swobodnie na rowerach, pobiegać czy pochodzić. Lecę przetestować asfalt. Ciclovía! Od lat 90. kilkadziesiąt kilometrów ulic zamykają między 8 a 14. Można jeździć na rowerze, biegać, spacerować. Przy każdym skrzyżowaniu policjant, wolontariusz. Wszystko świetnie zorganizowane.

Wycieczka na kolejny targ, tym razem rękodzieła. W trakcie kawa i odwiedziny w lokalnym minibrowarze. Przybyła porcja prezentów i pamiątek.



PLAC SIMONA BOLÍVARA W BOGOCIE



AUTOBUS MOŻNA ZATRZYMAĆ W DOWOLNYM MIEJSCU NA SKINIENIE RĘKI



TAKIMI POJAZDAMI PRZEWOZI SIĘ W BOGOCIE PIENIĄDZE



PROWINCJA W STYLU KOLONIALNYM, WIDOK Z MONSERRATE



WIDOK NA OSŁAWIONE MEDELLIN

Jedziemy do Medellin. Na dworcu autobusowym w Bogocie bez problemu znaleźliśmy kasę linii Bolivariano. Linie Bolivariano wyposażone są w doskonałe autobusy. Starałem się nie myśleć o 11 godzinach jazdy. Gdy zobaczyłem fotele, przestrzeń na nogi niespotykaną w innych europejskich modelach oraz ekrany LCD w każdym zagłówku, ucieszyłem się na samą myśl o podróży do Medellin autobusem właśnie. Zaskoczeniem był ogromny kąt odchylenia oparcia fotela. Wygodny podnózek dodatkowo umożliwiał zajęcie pozycji prawie horyzontalnej. Miętkość foteli wręcz doskonała, jak w wygodnym łóżku. System osobistego sterowania mediami na własnym ekranie LCD plus toaleta i oczywiście klimatyzacja dopełniły całości. Takim autobusem mogę podróżować nawet kilkanaście godzin dziennie, a jazda nocą na pewno może się skończyć głębokim snem. Tym razem jednak spać nie zamierzałem.

Wyjazd z Bogoty był przygnębiający. Przedmieścia brudne, biedne i zaniedbane. W oczy rzucał się brak tynków, czasami okien. W tym klimacie okna nie są potrzebne. Dodatkowo powierzchnia do mycia, zatrzymująca przewiew. Żaden z widzianych przeze mnie domów nie miał klimatyzacji. Autobusy mają! W tym miejscu uwaga. Jeżeli wybieracie się w podróż autobusem dalekobieżnym w Kolumbii, weźcie ze sobą ciepły polar. Kolumbijczycy nie korzystają z klimatyzacji, więc podczas jazdy bardzo ją doceniają. Na zapas. W autobusie panowała temperatura maksymalnie niska. Jazda z Bogoty do Medellin wymaga zjechania z pasma górskiego wschodnich Andów z wysokości około 2.600 m n.p.m. na równinę, a następnie wjechania na wysokość około 1.500

m. Przy drodze widać bary szybkiej obsługi, które nasz sanitariusz zamknąłby natychmiast. Bary te usytuowane są czasami na skarpie i oparte od strony zewnętrznej na palach. Myśl inżynierska miejscowych budowlańców jest zaskakująca. Kilometr wcześniej służby utrzymania dróg wzmacniają zbocza przed usuwaniem, a nieopodal właściciel takiego „zajazdu” dokłada dodatkowe pale, na których zamierza rozszerzyć działalność gospodarczą. Imponujące!

W pobliżu Medellin zauważyłem przy drodze więcej wojska. Podobno w lasach pojawiają się partyzanci. Nie dowiedziałem się, jacy. Czy z lewicowych FARC, ELN czy z prawicowej samoobrony przed FARC, czyli z AUC. W Kolumbii nadal trwa wojna domowa, prowadzona w dżungli. Dyskusja na ten temat u fryzjera kończy się zawsze przyklejeniem łatki zwolennika danej grupy bojowej. Dochodzą do tego jeszcze gangi działające w miastach, podobne do naszych grup kiboli z tą różnicą, że kibole nie mają jeszcze w rękach AK-47. Polecam film dokumentalny „La Sierra”, zwłaszcza politykom PiS-u. Można w nim zobaczyć, czym kończy się wspieranie takich bojówek. Ostatnio rząd kolumbijski skutecznie rozprawia się z takimi grupami, dzięki czemu Medellin z najbardziej niebezpiecznego miasta na świecie staje się miastem odrobinę bezpieczniejszym.

Na 450-kilometrowej drodze między Bogotą a Medellin minęliśmy kilka bramek, punktów poboru opłat. Bramki na autostradach istnieją, co może nieco dziwić. Nie widziałem natomiast winiet. Nasz kierowca nie jeździł tak ekstrawagancko, jak wspomniany wcześniej taksjarsz, ale co jakiś czas podnosił pasażerom

ciśnienie. Zaliczył co najmniej raz skuteczne wyprzedzanie pod górę, przed zakrętem na podwójnej ciągłej. Solidna ciężarówka, jakby żywcem wyjęta z filmu „Konwój”, na szczęście pojawiła się naprzeciw nas kilka sekund później. Przed Medellin widziałem podobny manewr kilka razy, z tą różnicą, że nie został ukończony. Kierowca, mając we krwi doskonałą umiejętność szacowania ryzyka, w porę hamował i chował się za auto, które właśnie przed chwilą chciał „przeskoczyć”. Może należałoby faceta nauczyć obrotu papierami wartościowymi i powierzyć mu trochę kasy? Marnuje się za kółkiem.

Około dwudziestej miejscowego czasu dojechaliśmy do celu bezpiecznie. *Buenas noches!*

W Medellin powoli czuć zimą. Nad ranem temperatura spadła do 18 st. Celsjusza.

Od czasu, gdy Pablo Escobar pożegnał się z tym światem, Medellin jest miastem prosperity. Podobnej aktywności próżno szukać w innych regionach Kolumbii. Przedsiębiorczość jest tu widoczna na każdym kroku. Pajsa, mieszkaniec regionu Medellin, myśli i pracuje z wyprzedzeniem. Stara się rozwijać, budować przyszłość. Szczytem nietaktu jest poddanie w wątpliwość urody tutejszych kobiet, zwłaszcza w porównaniu z dziewczynami z Bogoty.

Wreszcie udało się kupić bilety na lot linią Viva Colombia z Medellin do Cartageny poprzez punkt Baloto. Punkt wpłat gotówkowych mieścił się w hipermarkecie w centrum Medellin. Płatność polską kartą płatniczą przez internet graniczy z cudem. Można zapłacić w sklepie, czasami udaje się wybrać pieniądze z bankomatu. Najlepiej jednak zabrać kilka kart i trochę gotówki w dolarach. Lot nowym, czystym Airbusem A320 trwał z godzinę. Widoki wspaniałe, podejście od strony zatoki nad półwyspem z dzielnicą apartamentowców jedyne w swoim rodzaju. Cartagena jest bezpieczna ze względu na swój turystyczny charakter. Stare miasto urzeka kolonialnym stylem. W czasach konkwisty Cartagena była głównym portem Ameryki Południowej. Przez fort przeszło około 6 mln niewolników. Mury i stare miasto z czasów ekspansji kolonializmu hiszpańskiego tworzą wieczorem niezapomniany efekt. Na ulicach międzynarodowe towarzystwo. Oczywiście najwięcej Amerykanów, ale na Białej Plaży na Wyspach Różańcowych spotkaliśmy Polkę. Tak nam się wydawało. Była Niemką pamiętającą język polski ze swojego dzieciństwa.

Zaraz po wizycie w punkcie imigracyjnym i po przejściu przez bramki na lotnisku w Bogocie pobiegłem po kawę do kawiarni Juan Valdez. Po drodze usłyszałem krzyki dwóch pań sprzedawczyń w jednym ze sklepików z pamiątkami. Zauważyłem, że na służbowym komputerze oglądają mecz Wenezuela-Kolumbia, wlepiając oczy w małe okno, nie wiedząc, że można obraz powiększyć. Pomogłem i usłyszałem głośne *Gracias!* To oczywiste, że sprzedaż odbywała się tylko wtedy, gdy była absolutnie konieczna. Kiedy w mojej dłoni wylądowała już Americana, skoczyłem do sklepu ze sprzę-



NIE MA JAK KAWA KOLUMBIJSKA, ŚWIEŻO UPRAŻONA I ZMIELONA



SWOJSKIE KLIMATY W CARTAGENIE, KOLORY I EGZOTYKA



OWOCAMI HANDLUJE SIĘ W MIASTACH NA KAŻDYM RÓGU, SĄ SOCZYSTE, PEŁNE SŁOŃCA, PRZEPYSZNE



AUTOR Z REPREZENTACJĄ KOLUMBII DO LAT 16; PAMIĄTKOWE ZDJĘCIE Z LOTNISKA

tem elektronicznym, zobaczyć mecz. Na miejscu zgromadziło się kilkunastu kibiców w różnym wieku, tak kolumbijskich, jak i wenezuelskich. Wspólnie, bez awantur, oglądali piłkę, żywiołowo reagując co chwilę. Piłkarze wiedzieli, że na stadionie i przy odbiornikach oglądają ich miliony gorących kibiców. Na murawie zostawiali tony potu. Doping kibiców wenezuelskich był tak głośny, że miałem wrażenie, iż jestem na lotnisku w Caracas. Wśród kibiców pojawiła się także grupka młodych chłopaków w dresach narodowej reprezen-

tacji Kolumbii. Nie miałem okazji dowiedzieć się o nich nic więcej. Mecz skończył się wygraną Wenezueli 1:0. Atmosfery tej drugiej połowy, obejrzanej w takim towarzystwie, nigdy nie zapomnę. Miłość do piłki wśród Latynosów jest tak wielka, że można ją obdzielić co najmniej kilka kontynentów, a i tak pewnie zostałyby trochę w rezerwie.

Chwilę później wróciłem do bramki, którą miałem dostać się na pokład samolotu. Chłopaki z reprezentacji Kolumbii do lat 16 ustawili się w tej samej kolejce! Hurra! Lecą do Frankfurtu! Gdy spostrzegli, że nie wejdą w ciągu najbliższych minut, jeden z nich włączył przenośny głośnik. Ustawieni w kółko z dwójką liderów rozpoczęli radosny wspólny taniec, absorbując na sobie spojrzenia sporej grupki pasażerów. Kolejka przestała się przesuwac! Obsługa miała problem z płynną organizacją wejścia na pokład. Co chwilę wołali i pospieszali kolejnych podróżnych, starając się w ten sposób rozładować korek i sprawnie załadować wszystkich do samolotu. Nie było łatwo.

Gdy zająłem już miejsce, zauważyłem, że młodzi piłkarze idą do mojej części kabiny! Rozlokowali się dokoła i radośnie reagowali na wszystko i wszystkich. Lecieli na turniej do Holandii. Większość z nich to mieszkańcy biednych dzielnic Bogoty. Wyjazd z kraju był dla nich niesamowitym przeżyciem, a wyprawa na inny kontynent tak egzotyczna, jak dla mnie pobyt w Ameryce Południowej. Zrobiliśmy sobie wspólne fotki, dostałem autografy, a na koniec otrzymałem od trenera jeden z oficjalnych proporzeczków turniejowych. Może na mundial w Rosji w 2018 roku polska reprezentacja jednak pojedzie, a w grupie spotkamy się właśnie z Kolumbią? Może któryś z tych chłopaków zagra w pierwszej jedenastce naszych rywali? Spójrzę wtedy ze wzruszeniem na autografy i zdjęcia...

Na więcej opowieści przy kolumbijskiej kawie zapraszam do mnie.

TEKST I ZDJĘCIA JAROSŁAW DRAGAN

REKLAMA

Prof-Medica

**KINESIOTAPING
ZABIEGI**

laseroterapia
ultradźwięki
pole magnetyczne
elektrolecznictwo
światłolecznictwo

**REHABILITACJA
RUCHOWA**

rehabilitacja ruchowa niemowląt i dzieci
zaburzenia napięcia mięśniowego
asymetria ułożenia
wczesniactwo
opóźniony rozwój ruchowy
mózgowe porażenie dziecięce
wady postawy

**Poradnia rehabilitacyjna dzieci i dorosłych
Monika Nowak**
14-300 Antoniewo 7a , GSM: 506 069 114
biuro@prof-medica.pl

www.prof-medica.pl



PANORAMA DUBROWNIKA. TRUDNO UWIERZYĆ, ŻE DWADZIEŚCIA LAT TEMU MIASTO BYŁO ZNISZCZONE W 70 PROCENTACH

BAŁKANY UŚPIONE

SYLWIA STASIKOWSKA-WIECZOREK

LUBIMY JEŹDZIĆ NA WAKACJE DO CHORWACJI, CZARNOGÓRY, SŁOWENII... MAJĄ TAM TURKUSOWĄ WODĘ, OWOCE MORZA I GWARANTOWANĄ, FANTASTYCZNĄ POGODĘ. LUDZIE SĄ MILI I OTWARCI, LUBIĄ POLAKÓW. SĄ PLAŻE DLA NUDYSTÓW, SKLEPY Z PAMIĄTKAMI, MIŁE KNAJPKI I PRZYJEMNE PODMUCHY MORSKIEJ BRYZY. CZUJEMY SIĘ DOBRZE, BEZPIECZNIE.

Rzadko myślimy o tym, że całkiem niedawno była tam krwawa wojna, zginęło tysiące ludzi, a wiele miast zostało zbombardowanych i kompletnie zniszczonych. Kilkanaście lat temu funkcjonowały na Bałkanach regularne obozy koncentracyjne, a zbiorowe egzekucje były zjawiskiem powszechnym. Rzadko myślimy o ludobójstwie, oblężeniu, okupacji i zbrodniach.

Stopień skomplikowania narodów bałkańskich, choćby pod względem religijnym, i zależności terytorialne powodują, że nie jesteśmy w stanie stwierdzić, o co właściwie w tych konfliktach chodziło.



DUBROWNIK JEST GŁÓWNYM OŚRODKIEM TURYSTYCZNYM DALMACJI. NIEDAWNA WOJNA NA BAŁKANACH SPOWODOWAŁA JEDNAK KRYZYS W TEJ DZIEDZINIE I JEGO SKUTKI ODCZUWANE SĄ DO TEJ PORY

Była Jugosławia składała się z sześciu republik: Serbii, Chorwacji, Bośni i Hercegowiny, Macedonii, Słowenii i Czarnogóry. Republiki miały szeroką autonomię, a konstytucja dawała im nawet prawo do wystąpienia z federacji jugosłowiańskiej. Tendencje separatystyczne od zawsze najsilniej występowały w Chorwacji i wśród kosowskich Albańczyków. Po 1980 roku (śmierć prezydenta Tito), w obliczu narastającego kryzysu gospodarczego, napięcia etniczne nasiliły się. W 1990 roku w Chorwacji i Słowenii wybory wygrały niekomunistyczne partie polityczne. W referendum, które odbyły się w tych republikach, większość opowiedziała się za niepodległością.

Główny problem związany ze zrozumieniem tego, co wydarzyło się na Bałkanach na początku lat 90., był związany z interpretacją konstytucji. Prawo do secesji rozumiane było przez Chorwatów jako możliwość wystąpienia z federacji w całości jako republiki, natomiast Serbowie twierdzili, że prawo to przysługuje nacjom, a nie republikom. Rozbieżności w interpretowaniu konstytucji pociągały za sobą rozbieżności w postrzeganiu prawa do terytorium. Według Serbów, Chorwaci mieli prawo do wystąpienia z federacji, ale obszary zamieszkiwane licznie przez mniejszość serbską miały prawo do secesji z państwa chorwackiego. Rozpoczęła się więc walka o terytorium. Najbardziej krwawe walki rozgorzały w północno-wschodniej części dzisiejszej Chorwacji, w Vu-



WIEŻA CIŚNIENI W VUKOVARZE. CIĘŻKO USZKODZONA W CZASIE WIELU ATAKÓW, ZOSTAŁA ZACHOWANA JAKO SYMBOL KONFLIKTU



ZBOMBARDOWANY HOTEL GRAND W KUPARI W CHORWACJI

kovarze (od sierpnia do listopada 1991) i w jednym z najczęściej odwiedzanych przez Polaków mieście, Dubrowniku (od października 1991 do maja 1992). Dubrownik wraz ze starym miastem wpisanym na listę światowego dziedzictwa UNESCO był regularnie bombardowany, a wiele hoteli w jego okolicy (Kupari) zostało doszczętnie zniszczonych. Do dziś stoją jako ruiny, ostrzelane i dostępne do oglądania przez turystów.

VUKOVAR

Został prawie całkowicie zniszczony podczas walk w 1991 roku (zamieszkiwany był w 70% przez Chorwatów i w 30% przez Serbów). Armia jugosłowiańska i serbscy ochotnicy ostrzeliwali miasto prawie trzy miesiące. Strzelali bezpośrednio do ciężko rannych leżących w miejskim szpitalu. Łżej rannych i personel szpitala wywieźli za miasto, bili, torturowali, a później rozstrzelali i pochowali w zbiorowych grobach. Większość cywilów uciekła. Pozostałych wymordowali i pochowali w masowych, bezimiennych grobach. Przez następnych sześć lat Vukovar pozostawał w rękach Serbów.

19 grudnia 1991 roku, po licznych walkach, Serbowie zamieszkujący tereny chorwackie proklamowali niepodległość Republiki Serbskiej Krajiny, opowiadającej się za związkiem z rozpadającą się już wówczas Jugosławią. W styczniu 1992 roku weszło w życie zawieszenie broni, a do strefy walk wkroczyły oddziały pokojowe ONZ. W 1994 doszło do negocjacji pomiędzy władzami Chorwacji i Republiki Serbskiej Krajiny, lecz zakończyły się fiaskiem. W sierpniu 1995 przeprowadzona została przez Chorwatów „Operacja Burza”, która doprowadziła do upadku Republiki Serbskiej Krajiny i exodusu Serbów z terenów dzisiejszej Chorwacji.

DUBROWNIK

W 1991 roku, po ogłoszeniu deklaracji niepodległości przez Republikę Chorwacji, Dubrownik był regularnie ostrzeliwany przez Serbów i Czarnogórców. Oblężenie trwało od października 1991 do maja 1992. Zniszczeniu uległo 70% budynków, w tym wiele zabytkowych.

Słowenia ogłosiła niepodległość 25 czerwca 1991 roku. Walki o nią, dzięki naciskom Wspólnoty Europejskiej, trwały tylko dwa tygodnie.

Sytuacja Bośni i Hercegowiny była o tyle bardziej skomplikowana w porównaniu z Chorwacją i Słowenią, że zamieszkiwały ją trzy liczne grupy etniczne – Bośniacy (43% populacji), Serbowie (31%) i Chorwaci (17%). Na początku 1992 odbyło się referendum w sprawie niepodległości Bośni i Hercegowiny i 5 marca 1992 roku ogłoszono niepodległość. W kwietniu 1992 roku Bośnia i Hercegowina została uznana przez społeczność międzynarodową. Zapadła decyzja o skierowaniu do nowego państwa oddziałów ONZ. W lipcu



SREBRENICA, MIEJSCE DOKONANIA ZBRODNI LUDOBÓJSTWA

1992 roku Chorwaci powołali w Bośni tzw. Chorwacką Republikę Herceg-Bośni, a miesiąc później Serbowie utworzyli Republikę Serbską. Ówczesni prezydenci Serbii, Slobodan Milošević, i Chorwacji, Franjo Tuđman, potajemnie ustalili podział terenów Bośni i Hercegowiny. Wywołało to jeden z najkrwawszych konfliktów XX wieku, którego symbolami stały się oblężenie Sarajewa i masakra cywilnej ludności bośniackiej w Srebrenicy, której dokonano przy całkowitej bezczynności broniących miasta wojsk ONZ.

Już w październiku 1992 roku ONZ powołało komisję do zbadania zbrodni wojennych, a w 1993 roku powstał specjalny trybunał ONZ do osądzenia zbrodniarzy wojennych w byłej Jugosławii. Dwa lata przed ludobójstwem w Srebrenicy.



HOTEL GORIČINA W KUPARI. KIEDYŚ TĘTNIŁ ŻYCIEM, DZISIAJ JEST CZĘŚCIĄ „ZATOKI UMARŁYCH HOTELI”

SREBRENICA

Miasto i jego okolice w 1993 roku zostały uznane przez ONZ za strefę bezpieczeństwa dla bośniackich muzułmanów. Między 12 a 16 lipca 1995 roku oddziały Serbów dokonały tam zbrodni, którą określono mianem największego ludobójstwa w Europie od czasów II wojny światowej. W tych dniach 8 tysięcy bośniackich chłopców i mężczyzn w wieku od 12 do 77 lat zostało rozstrzelanych strzałem w tył głowy i pochowanych w bezimiennych grobach. Stacjonujący tam holenderscy żołnierze ONZ, którzy mieli chronić ludność cywilną Bośni, nie podjęli żadnych działań w obronie masowo mordowanych dzieci i mężczyzn.

Balkany są teraz uśpione. Przyjaźnie nastawione do turystów, pełne słońca i kulinarnych pyszności. Jestem przekonana, że to jednak stan chwilowego uśpiania. Konflikty religijne, terytorialne, etniczne są tam tak silne, że czuje się je w powietrzu i oddycha nimi. Mieszą się z zapachem wody, lawendy i dań przyrządzonych z owoców morza. Smaki mieszą się z zapachami meczetów, monasterów i kościołów, a wypowiedzi przy winie przedstawicieli poszczególnych narodów bałkańskich nie dają zapomnieć o tym, jak wiele ich łączy i jak wiele dzieli. Pod pokrywką bałkańskiego kotła wciąż kipi.



DANUTA

ZAWSZE MOŻNA BYĆ SEXY!

To niemal trąci banałem, ale trzeba wciąż powtarzać, że każda kobieta, niezależnie od wieku, wykonywanej pracy czy figury, zawsze powinna być zadbana i modna. Co oznacza również, że nowoczesna i piękna. Nie ma granic czasowych, które ograniczałyby tę regułę. Kobieta modna lansuje określony, własny styl bycia, a nie tylko chwilowe trendy, którymi się wszyscy ekscytują. Powinniśmy się dobrze czuć w swoim stylu i niczego nie robić na siłę. Dotyczy to także kobiet dojrzałych. Własny styl sprawi, że będziemy się czuć piękne i zadbane w każdym momencie. Wystarczy mieć kilka podstawowych rzeczy w swojej szafie i odpowiednie akcesoria: biżuterię,

apaszki, torebki i buty, które nadają ostateczny charakter całemu strojowi.

Nasze niezawodowe modelki, Danuta i Anna, udowodniły w scenarii dużego miasta, że dobry makijaż i stylizacja z każdej kobiety uczynią piękność, za którą będą oglądać się nie tylko mężczyźni. Złamaliśmy przy okazji kod kolorów. Intensywne barwy można nosić, z wycuciem oczywiście, w każdym wieku. Warto też zadbać o szczegóły – nowoczesne, wyraziste oprawki okularów, odpowiednie rajstopy, naszyniki, torebki w energetycznych kolorach. Zaskakujących sposobów jest wiele, trzeba tylko uruchomić wyobraźnię i przełamać obawy. Zawsze można być sexy!



ANNA









KOLEKCJA WIOSNA-LATO 2013
ROCCOBAROCO I BYBLOS

ZDJĘCIA MAGDALENA OSTROWICKA TEL. 513 740 783 WWW.COBRAOSTRA.PL • **MODELKI** ANNA SZWERYN-SUCHANEK I DANUTA LISTWAN (MISS PODBESKIDZIA 1991) • **MAKE UP** EWA TRZECIAK WWW.EWATRZECIAK.PL • **FRYZURY** ANNA KOSIŃSKA-BARON – HAIRMANA PATRYCJA SOBECKA BIELSKO-BIAŁA 11 LISTOPADA 82 TEL. 518 903 163 • **KOLEKCJA** SUBLIME BIELSKO-BIAŁA UL. ADAMA MICKIEWICZA 21B TEL. 33/ 506 55 50 • **BIŻUTERIA** SIMONETTA MARCHETTO

MAGAZYN „LADY'S CLUB” DZIĘKUJE WSZYSTKIM OSOBOM I FIRMOM, KTÓRE POMOGŁY W REALIZACJI PROJEKTU

CobraOstra.pl
FOTOGRAFIA

Wizaż
EWA TRZECIAK

hairmana
PATRYCJA SOBECKA

Splolime Moda Arte Design
Made in Italy



HOROSKOP



BARAN (21 MARCA – 19 KWIETNIA)

Pęczniesz z dumy, bo udało Ci się ostatnio zrzucić parę kilogramów. Na lato jak znalazł! Utrzymuj wagę konsekwentnie i na różne sposoby. Samą zieloną herbatą niewiele wskórasz, a dobrze wiesz, że zbyt łatwo ulegasz pokusom ciasteczkowym. Przejrzyj zawartość szafy, zobaczysz, ile tam rzeczy, w które się już nie mieścisz. Nie ludź się, że kiedykolwiek do nich wrócisz. Może lepiej oddać je na jakiś pożyteczny, charytatywny cel? W pracy spokojnie, może nawet za spokojnie, ale to Ci nie przeszkadza. Gorzej w sprawach uczuciowych. Skąd się biorą te drobne nieporozumienia między wami? Może stąd, że za bardzo koncentrujesz się tylko na sobie.



BYK (20 KWIETNIA – 20 MAJA)

Kochasz i jesteś kochana. Pomyśl, jak długo czekałaś na taki stan. Twoja cierpliwość została nagrodzona i teraz w dużej mierze zależy od Ciebie, czy ten wspaniały okres będzie trwał w nieskończoność. Nie martwi Cię nawet to, że nie masz dobrej pracy. Wierzysz, że i w tej dziedzinie wszystko się poukłada. Staraj się jednak pomóc swojemu szczęściu, żeby kłopoty finansowe nie zakłóciły waszej miłości. Brak pieniędzy rozbił już niejedną parę. Spadła na Ciebie ostatnio lawina obowiązków domowych, ale jesteś dobrą organizatorką, ogarniasz wszystko. Twój partner docenia to. Szykuje dla Ciebie i rodziny na przełomie maja i czerwca miłą niespodziankę.



BLIŹNIĘTA (21 MAJA – 20 CZERWCA)

Język Cię świerzbi, że zdradzić paru znajomym „sensację” związaną ze Skorpionem, ale rozsądek podpowiada, że mogłabyś dużo na tym stracić, więc taktownie milczysz. I dobrze, bo to nowina sezonowa, za parę tygodni nikt nie będzie pamiętał, dlaczego obgadywałaś ich z takim zapalem. Lepiej zająć się swoimi sprawami, na przykład dojrzewającym konfliktem w pracy. Takie rzeczy robią się ze zwykłych głupstw, a potem stają się wielkimi problemami. Bądź mądrzejsza, przerwij ten chocholi taniec. Prędzej czy później wszyscy dowiedzą się, że miałaś rację. Zajmij się także swoimi wydatkami. Kupujesz więcej niż zarabiasz, spirala długów narasta. Miej tego świadomość.



RAK (21 CZERWCA – 22 LIPCA)

Miałas pojechać pod koniec maja w długą podróż służbową, dużo pracowałaś nad kilkoma projektami, ale szef oznajmił Ci wkrótce, że to była robota zespołowa i tylko on pojedzie reprezentować firmę. Nie unosz się ambicją, nie denerwuj się, nie trzaskaj drzwiami, bo w czerwcu będziesz miała okazję zagrać im wszystkim na nosie. Zobacz, ile naprawdę jesteś warta. Możesz już planować długie i piękne wakacje w sierpniu. Zasłużysz na nie. Postaraj się do tego czasu odświeżyć kilka dawnych kontaktów, przydadzą się stare znajomości. Wolne chwile przeznacz na poprawę sylwetki, przyda się kilka korekt tu i tam. Odstaw chleb i bułki, skup się na nowalijkach.



LEW (23 LIPCA – 22 SIERPNI)

Czy wiek robi różnicę? To nie ma znaczenia, że jesteś starsza. Rozejrzyj się wokół siebie, ile jest par zróżnicowanych pod względem wieku. Nawet o dwadzieścia lat. Dzisiaj to już nie jest sensacja. Jeśli Ci się podoba i masz poważne zamiary, spróbuj wystartować do niego. I nie przejmuj się ludzkimi językami ani jego rodziną. Przyzwyczajają się. Ważne są tylko wasze uczucia. Myślisz o tym od dawna, teraz przyszła pora działania. Szykuje się kilka niezłych okazji, między innymi czerwcowy wyjazd integracyjny. Nie lubisz takich imprez, ale tej nie opuszczaj. Do tego czasu skup się na sobie. Przepraszaj się z rowerem i tenisówkami do biegania po parku. Musisz być zrelaksowana.



PANNA (23 SIERPNI – 22 WRZEŚNIA)

Nie masz pewności, czy dobrze zrobiłaś, planując taką drogą wycieczkę wakacyjną. Przecież o niej marzyłaś w styczniu, kiedy siedziałaś od rana do wieczora przy komputerze, żeby wykonać dodatkowy projekt i zarobić więcej niż normalnie. Więc skąd te skrupuły? Należy Ci się w lipcu solidna porcja aktywnego odpoczynku w ciepłych krajach. To będzie rekompensata za szarą i nudną zimę przy biurku. Oczywiście możesz nigdzie nie jechać i roztrwonić kasę w galeriach handlowych, ale jaki to ma sens? Lato jest takie krótkie, trzeba je spędzać intensywnie, żeby mieć mnóstwo ładnych wspomnień na jesienne wieczory. Zaproponuj wspólną wyprawę Strzelcowi lub Rakowi.

DLA CIEBIE



WAGA (23 WRZEŚNIA – 22 PAŹDZIERNIKA)

Nie spodziewałaś się, że Twoja decyzja wywoła aż tyle nerwowych reakcji. Teraz już nie możesz się wycofać, musisz robić to, co zapowiedziałaś. W końcu jakoś wszystko się ułoży. Przede wszystkim postępuj konsekwentnie, Twoje racje zwyciężą. W domu kilka nieprzyjemnych rozmów z bliskimi, zaskoczonymi Twoim niecodziennym zachowaniem. Ale to jest Twoje życie, najwyższa pora, żeby ułożyć je po swojemu. Zbyt długo słuchałaś wszystkich, tylko nie siebie. Postaraj się umiejętnie godzić emocje z racjami rozumu. W sprawach finansowych, niestety, ciągle dołek, dlatego nie rezygnuj z żadnej okazji, żeby dorobić. Nawet kosztem wypoczynku wakacyjnego.



SKORPION (23 PAŹDZIERNIKA – 21 LISTOPADA)

Świadomie zdecydowałaś się opuścić wiele osób, żeby znaleźć czas dla siebie, na swoje sprawy. Z dystansu wszystko lepiej widać. Czy właściwie wykorzystałaś ten okres? Dostrzegłaś coś nowego, co pomoże Ci na nowo ułożyć pewne sprawy? Oczywiście nagromadziło się teraz mnóstwo rzeczy do załatwienia, ale możesz z powodzeniem wykorzystać nadmiar energii na rozwijanie nowych koncepcji. Pomyśl też o zdrowiu. Nie podbijasz świata, jeśli nie zbadasz krwi i nie zmierzysz ciśnienia. Zobacz, ile osób wokół Ciebie choruje, nie lekceważ niepokojących objawów. Jest koło Ciebie inny Skorpion, który chętnie skorzysta z Twojej rady i pomocy. Zainteresuj się nim.



STRZELEC (22 LISTOPADA – 21 GRUDNIA)

Nerwy masz w kiepskim stanie, dobrze o tym wiesz. Powinnaś zmienić tryb życia i uwolnić się od natrętnych myśli, związanych z kilkoma bliskimi osobami. To nie będzie proste, może nawet potrzebujesz czyjejś pomocy. A jeśli nie chcesz podejmować radykalnych kroków, to po prostu zmień relacje z tymi osobami. Trzeba szanować zdrowie i naprawiać, co się da, myśląc przede wszystkim o sobie. Zbyt długo poświęcałaś się dla innych. Dużo się wokół Ciebie dzieje, każdy tydzień przynosi zmiany, poddaj się pozytywnym emocjom i częściej uśmiechaj do życia. To się opłaci, z czasem opuści Cię kiepski nastrój i dostrzeżesz jasne strony życia w nowym środowisku.



KOZIOROŻEC (22 GRUDNIA – 19 STYCZNIA)

Jesteś zadowolona, bo kochasz ciepło i dalekie wędrowki. Lubisz myśleć o kolejnych wyjazdach i nieznanym krajach. Urlop zapowiada się fantastycznie, choć nic na to nie wskazywało. Niepokoją Cię jedynie kiepskie relacje w pracy. Wyczuwasz nerwowość u przełożonych, boisz się radykalnych zmian. Czyżby pogorszyła się sytuacja finansowa firmy? Bez obaw, nikt Ci nie odbierze zaplanowanego urlopu. Przed wyjazdem pamiętaj o wykupieniu polisy ubezpieczeniowej. Zaproponuj wspólne wakacje Blizniętom, to będzie dodatkowa wartość, z nimi nie sposób się nudzić. W przyszłym miesiącu czeka Cię niespodzianka. Pojawi się w Twoim kręgu ktoś nowy.



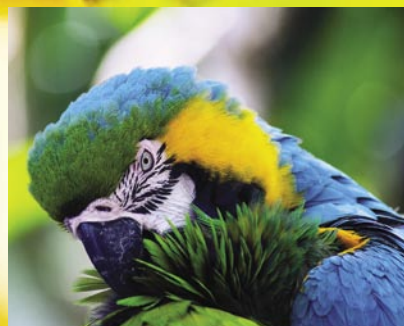
WODNIK (20 STYCZNIA – 18 LUTEGO)

Warto czasami cierpliwie poczekać i nie popędzać wypadków. Opłaciło Ci się wysłanie sygnału w stronę Raka. Wspólnie zrobicie dużo więcej. Twój szefowie docenią tempo wykonania zadań, może nie ominie Cię nagroda pieniężna. Dodatkowy zastrzyk finansowy przyda się w czasie wakacji. Bądź jednak ostrożna w opowiadaniu o sukcesach zawodowych, nie brakuje w Twoim otoczeniu zazduszników. Zwłaszcza Panna zazdrości Ci inicjatywy i chętnie zamieniłaby się z Tobą miejscami. W czerwcu spodziewaj się gości. Przyjadą na krótko, ale to będzie pamiętna wizyta. Ktoś zaproponuje Ci opiekę nad sympatycznym czworonogiem. Pamiętaj, że zwierzę to nie zabawka.



RYBY (19 LUTEGO – 20 MARCA)

Ten rok nie zaczął się dla Ciebie zbyt udanie, ale to jeszcze nie katastrofa. Dużo wskazuje na to, że po okresie posuchy nastąpi korzystna odmiana i zaczniesz wreszcie pozytywnie patrzeć na świat. Przed Tobą perspektywa zmiany otoczenia zawodowego, możliwość poznania nowych ludzi i wyjścia z dolka finansowego. Długi bardzo Ci ciąży, bo ich nie lubisz, wolisz klarowne sytuacje. Musisz jednak podejmować rozsądne decyzje, nie wszystko złoto co się świeci. Oszustów nie brakuje. Żebyś nie wpadła z deszczu pod rynnę. Nie podpisuj każdej kartki, którą będą Ci podsuwać pod nos. Zanim cokolwiek postanowisz, popytaj życzliwych ludzi. Sprzyja Ci bardzo Lew.



○ szaleństwie WŁADZY

KRZYSZTOF ŁĘCKI

I

W orwellowskim roku 1984 słynna amerykańska pisarka historyczna, laureatka nagrody Pulitzera, Barbara Tuchman, wydała książkę zatytułowaną *The March of Folly* (polskie wydanie pod tytułem *Szaleństwo władzy. Od Troi do Wietnamu*, Katowice 1992). Szaleństwa władzy nie kończą się oczywiście w momencie wyjścia Amerykanów z lokalnej wojenki w Azji. Wojenki tak ciągle przeżywanej przez amerykańską popkulturę. Co ciekawe, najgłośniejszy film o niej, *Czas Apokalipsy* Francisca Forda Coppoli, opowiada właśnie o szaleństwie, jakie sprowadza na człowieka „nieograniczona” władza. Ba, Tuchman (która tak wnikliwie w *Sierpniowych salwach* pokazała szaleństwo roku 1914, roku, w którym ostatecznie kończy się wielkość Starej Europy; co z tego, że w szaleństwie tym była metoda, skoro dała tak obłąkane rezultaty) nie pokazała – bo też pokazać nikt nie byłby w stanie – wszystkich znanych z dziejów przypadków szaleństwa władzy. Historia to wszak ich niewyczerpany rezerwuár. Ale nie tylko pisma historyków, także literatura i sztuka umożliwiają spojrzenie na szaleństwo władzy, widziane wtedy jak w soczewce. To one wreszcie oferują nam wielkie metafory, zwierciadła, w których przejrzeć się może – jeśli tylko zechce zobaczyć się we właściwych proporcjach – współczesność. Wiele dramatów Williama Szekspira traktuje właśnie o szaleństwie władzy. Warto zajrzeć choćby do szkiców Jana Kotta z *Szekspira współczesnego*. Wspomniany wyżej *Czas Apokalipsy*, choć jego akcja dzieje się w Azji, jest przecież próbą adaptacji powieści o szaleństwie „wszechmocnego” Kurtza z *Jądra ciemności* Josepha Conrada.

II

Film Wernera Herzoga *Aquarre, gniew boży* po raz pierwszy zobaczyłem dwadzieścia parę lat temu. Już wtedy wywarł na mnie wielkie wrażenie. Potem co jakiś czas do niego wracałem. Nie jestem specjalnym wielbicielem kina Herzoga. A jednak ten obraz niemieckiego reżysera oglądałem już wiele razy. Historia hiszpańskiego konkwistadora, jednego z tych poszukiwaczy Eldorado, którzy zamiast złota i zaszczytów znaleźli tylko szaleństwo i śmierć, może wydawać się fascynująca sama w sobie, to prawda. Ale przecież film hiszpańskiego reżysera Carlosa Saury *El Dorado*, który z większym bodaj rozmachem pokazał życiową (i jak się miało okazać – śmiertelną) przygodę Lope de Aquirry, nie zrobił na mnie już tak wielkiego wrażenia. Zdecydował zatem być może, paradoksalnie, sposób opowiadania Herzoga, niezwykle oszczędny, ascetyczny prawie, pozwalający dostrzec samą istotę tego, co przydarzyło się poszukiwaczowi Krainy Złota.

Obraz Herzoga to połączenie poezji kina i socjologicznego eksperymentu, metafory i konketu, to studium władzy i szaleństwa – nic tu nie odwołuje nas od samej istoty dramatu. Oto wyprawa Pizzara wylania z siebie grupę ekspedycyjną pod dowództwem Ursu, jego zastępcą zostaje wyznaczony Aquirre. Ursua jest zachowawczy, nie chce ryzykować i przekraczać kompetencji, którymi obdarzył go Pizzaro. Aquirre – przeciwnie, pragnie bogactwa, jak inni, to prawda, ale przede wszystkim sławy i władzy. Kiedy w trudnej już dla ekspedycji sytuacji trzeba zdecydować, czy płynąć dalej, czy wracać, Aquirre oczywiście chce płynąć dalej. Rani Ursu i nęcąc pozostałych wizją Eldorado, doprowadza do buntu. Detronizuje przy okazji, fraszka, króla Hiszpanii, potem w parodii procesu skazuje na śmierć Ursu. Cesarzem Eldorado, które wydaje się na wyciągnięcie ręki, mianuje Aquirre... Nie, nie siebie, jak można by oczekiwać. Jeszcze nie jest przygotowany na objęcie pełni władzy. Jeszcze na nowego cesarza, cesarza Aquirre, nie są przygotowani pozostali uczestnicy ekspedycji. Jeszcze liczą się szarże, hierarchie i tytułatura wywiedzione z Hiszpanii. Dlatego Aquirre cesarzem mianuje figuranta, szlachcica Guzman. Co to jest tron, powiada Aguirre, „kawałek drewna obity skrawkiem aksamitu”. Sam Aquirre ma większe ambicje. Chce „inscenizować historię jak inni przedstawienia w teatrze”. Ale Wielki Mechanizm Historii w filmie Herzoga słabo przypomina szekspirowskie kroniki królewskie. Tam też były zdrada, okrucieństwo, obsesja władzy, ale wreszcie król zastępował króla. Pod ręką Aquirry historia zamienia się w farsę. Droga Aquirry jest jak rzeka, którą płynie donikąd, w jądro ciemności, w szaleństwo. Oto gdy inni głodują, z obżarstwa umiera komiczny cesarz Guzman. I naraz okazuje się, że jednak coś osłaniał, on, taki, zdawało się, figurant. Szaleństwo Aguirry nie zna już teraz żadnych barier. Ginie z rąk żołdaków Ursua, którego egzekucję wstrzymywał właśnie Guzman. Tę zbrodnię można jeszcze próbować tłumaczyć pragmatyzmem władzy. Ursua samym swoim istnieniem zagrażał pozycji Aquirry. Ale całe reszty racjonalnie wytłumaczyć już nie sposób. I resztą nie trzeba. „Jeśli ja, Aquirre, zechcę, by ptaki spadały, to ptaki będą spadały martwe z drzew”. Dla Aquirre rzeczywistość przestaje istnieć, jej miejsce zajmują fantasmagorie – o panowaniu nad kontynentem, o stworzeniu najczystszej dynastii z własną córką jako żoną. Ale strzały Indian istnieją i krew córki Aquirry jest prawdziwa. Od indiańskich strzał giną zresztą wszyscy Hiszpanie. Sen o potędze kończy śmierć, której oszalały Aquirre zdaje się nawet nie dostrzegać...



SOCJOLOG, PUBLICYSTA, FELIETONISTA, KOMENTATOR, KONSERWATYSTA, AUTOR M.IN. „INNEGO ZAPISU”, „PERSPEKTYW SOCJOLOGII KULTURY ARTYSTYCZNEJ” (Z ALEKSANDREM LIPSKIM), „DOGMATÓW I HEREZJI” (Z WITOLDEM IZDEBSKIM), „KOMUNIKACJI INTERPERSONALNEJ W PRACY SOCJALNEJ” (Z ANDRZEJEM SZÓSTAKIEM), ROZPRAWY „ŚW. GOMBROWICZ”, ZBIORU FELIETONÓW „WIDMA WOLNOŚCI”. PRACUJE NA WYDZIALE NAUK SPOŁECZNYCH W INSTYTUCIE SOCJOLOGII UNIWERSYTETU ŚLĄSKIEGO W KATOWICACH. AUTOR PONAD STU SZKICÓW I ARTYKUŁÓW, GŁÓWNIE W TOMACH ZBIOROWYCH I CZASOPISMACH SPECJALISTYCZNYCH.